



PL 68000 0170-0108 82 Lublin 1933

# Kamena

NR 11 (857)

1 czerwca 1986

Cena 15 zł

## Pożegnanie grupy Lombard



Z końcem 1985 r. postanowili zawiesić działalność koncertową na czas bliżej nieokreślony. Czekają ich tylko wcześniej zakontraktowane występy w Związku Radzieckim, NRD i Jugosławii.

Fot. Z. Walter

*Poczytaj mi,  
Mamo!*

STR.67

## O hejnale i trębaczach z Bramy Krakowskiej

STR.8-9

## Wyznania lubelskiego taksówkarza

STR.8-9,10



## Głupcy z kosmosu

STR.10

## Obywatele na zabytkach

STR.3,10

# z notatnika

17 V. Piotr Gadzinowski w tygodniku „itd” komentuje pracę „Diabeł i egzorcyzm”, przygotowaną przez Franciszka Marytown Press i kolportowaną w kościołach „za zezwoleniem władzy duchownej”. Książki, niestety bardzo fałszywe, nie miałem w ręku, muszę się więc oprzeć na cytatach zaprezentowanych przez mojego młodszego kolegę. Posłuchajmy, bo to takie piękne, zwłaszcza że znajdujemy się w przededniu XXI wieku!

„Prawdą wiary jest, że diabeł istnieje. [...] Od czasu do czasu Bóg pozwala na diabelskie nawiedzenie człowieka, a to w tym celu, aby pobudzić naszą czujność względem tej prawdy. [...] Egzorcyzm jest rozkazem wydanym demonom w imię Boga, aby wyszli z miejsca, osoby lub rzeczy. [...] Kapłan jest milicjantem w Kościele Bożym i ma władzę wrzucać do otchłani nawet księżką i moce piekła, którzy (?) są pierwszymi sprawcami zbrodni przeciwko Bogu. [...] Egzorcyzm nie powinien wdawać się w długie rozmowy z demonem, czy zadawać niepotrzebnych, czy drażliwych pytań, zwłaszcza dotyczących przyszłości i tajemnic, które nie mają nic wspólnego z jego zadaniem. [...] Są jednak pytania, które egzorcyzm powinien zadać, na przykład powinien pytać o sprawy dotyczące liczby i imion diabłów przebywających w chorym, czas i przyczynę opętania. [...] Szatani atakują nas systematycznie, zmieniając się według zaplanowanej strategii wymaganej przez okoliczności. Wiemy, że w piekle nie ma ani prawdziwej zgody, ani braterskiej jedności, lecz jedynie wspólny interes, czysta konieczność, czy nadzieja na odniesienie sukcesu organizują ich czasowo do ataku”.

Strasznie to wszystko, ale poza szatanami istnieją też „dużki (skrzaty) względnie nieszkodliwe, chociaż dokuczliwe. Ich zamiarem jest raczej wypróbowanie nas, niż szkolenie nam. W tym celu piatają różne figle, łamiąc na przykład osie od samochodu, dokonując innych pomniejszych aktów sabotażu...”

Osobiście dziękuję za takie figle dużych, kiedy łamią one osie od samochodu! A swoją drogą będę się pilnie przyglądał ludziom. Może w takim np. (tu nazwisko) siedzi diabeł i jego trzeba obwiniać za wszystko zło, które (tu nazwisko) wyrządza? Jeśli tak, wszystko jest jasne jak przy inkwizycyjnym stosie.

20 V. Po raz drugi wróciliśmy do Edenu i każą nam oglądać (oczywiście nie musimy, ale co robić w niedzielne wieczory, skoro życie towarzyskie zanika?) zmagania Stefania z ludźmi w krokodyliach skórkach. Tajemnice zagranicznych seriali, które opowiadały ostatnio aż do skrajnej przesady naszą telewizję, wyjaśnia bardzo prosto Franciszek Skwierkowski na łamach „Prasy Polskiej”. Za importowaną minutę płaci się kilkanaście dolarów, co przy czarnorynkowym przeliczeniu wynosi 9-10 tys. złotych, a za taką samą minutę zrealizowaną w kraju trzeba zapłacić aż 200, a nawet więcej tysięcy złotych.

Możemy na różnych zebraniach ubolewać nad zanikiem treści ideowych, wiele mówić o wychowaniu młodego pokolenia w wiadomym duchu, ale, jak się okazuje w praktyce, liczy się tylko forsa — od czasownika „forsować” A co forsować, to już widzimy na własne oczy.

23 V. Dzisiejszy „Sztandar Ludu” relacjonuje dwugodzinny dyżur i sekretarza KW PZPR w Zamościu, Mariana Wysockiego, przy telefonie. „Panie sekretarzu — mówi jeden z mieszkańców — zna pan Warszawę i Rynek Staro Miasta? Nasz zamojski nie brzydszy i nie mniejszy. Tamten jednak zawsze pełen życia, ludny, ruchliwy. Nasz jakby wymarły. Nie się tu nie dzieje, chyba, że od święta...” Marian Wysocki zgodził się z rozmówcą, ale jednocześnie przyznał, że próby czynione przez niego, nawet osobiście, w tym kierunku nie spotkały się dotąd z odzewem zainteresowanych...

Wspominam o tym, bowiem już dwukrotnie na tych łamach zwracałem uwagę na to, że przepiękny Rynek zamojski przypomina kamienną pustynię. Rok za rokiem bieży i... dobrze jest, jak jest. Mogę tylko wyrazić zadowolenie, że i sekretarz KW PZPR w Za-

mościu ma takie same odczucia jak ja. Nie chciałbym niczego sugerować, ale widzę tu duże pole do popisu dla pełnej inicjatyw redakcji „Tygodnika Zamojskiego”. Redaktor naczelny pisma może dosłownie z okna własnego mieszkania obserwować, czy coś się zmienia na Ryнку...

Gdy jestem przy dzisiejszej lekturze... Czytam w „Kurierze Polskim”, że dr Jan Giliczyński od ponad 60 lat gromadził unikalne dokumenty i materiały, wszystko z myślą o przekazaniu zbiorów do muzeów. Do władz miasta miał jedną prośbę — o pomoc w przeniesieniu sublokatorki ze swojego mieszkania, w zamian chciał ofiarować Bibliotece Jagiellońskiej, Muzeum Narodowemu przedmioty wartości ok. 50-60 mln zł, zaś resztę zapisał w testamencie miastu. Niestety, przez sześć lat nie udało się znaleźć mieszkania dla sublokatorki kolekcjonera. Dopiero niedawna śmierć 90-letniego zbieracza położyła kres wieloletnim sporom. Obecnie wszystkie zbiory (wśród nich listy królów polskich!) przejął komornik, testamentu dotychczas nie znaleziono.

Dla mnie ta informacja jest wprost przerażająca. Władze miasta Krakowa przez tyle lat nie były w stanie wykwaterować jedną sublokatorkę, z którą p. Giliczyński, być może nie miał łatwego życia. A przecież zmarły kolekcjoner mógł sprzedać część swoich zbiorów innym kolekcjonerom i sprawić sobie nawet wilę! „Mógł sprzedać...” — łatwo napisać. Prawdziwi zbieracze nie chcą się pozbyć nawet mało wartościowych drobiazków...

Ale wszystko to bulwersuje. Komuś zabrakło nie tylko wyobraźni. Temat dla wnikliwego reportera! Choć i tak będzie już tylko czymś w rodzaju epitaforium...

24 V. Pisałem przed dwoma tygodniami, że badylarze odbijają sobie majowe straty w dniu Święta Zmarłych. Szanowne panie przekupki nie chcą jednak tak długo czekać. Dziś za pęczek (ładnej, to prawda) wloszczyzny żądają... 60 złotych. A działo się to na targowisku przy ul. Lubartowskiej.

Ludzi było mrowie, handlowano dosłownie wszystkim. Również książkami i to wydanymi w tym roku. Obserwując ceny, można powiedzieć, że p. Marek Gacka w swoim antykwariacie przy ul. Pstrowskiego uprawia działalność charytatywną! Czy na tych książkowych spekulantów rzeczywicie nie ma żadnej rady? Obawiam się, że istotnie nie, bo właśnie przeczytałem w „Gazecie Krakowskiej”, iż na tamtejszym targowisku przy Hali Grzegorzewskiej dzieła zebrane Hlaski, wydane w tym roku, kosztują 3000 zł, a więc o 1700 zł więcej niż wynosiła ich cena oficjalna. „Gazeta” stwierdza, że ceny książek ostatnio znacznie podskoczyły. Podskoczyły też, dodam, ceny książek, które ostatnio znalazły się na półkach księgarskich. W czasie pobytu w Serocku kupiłem w tamtejszej księgarni za jedyne 450 zł „Dzieje muzyki” Bogusława Schaeffera opublikowane w 1983 r. przez Wydawnictwo Szkolne i Pedagogiczne. W płóciennym oprawie, ponad 500 stron z ilustracjami. Ile by ta pozycja kosztowała, gdyby ją wydrukowano obecnie? A swoją drogą w księgarniach „gdzieś w terenie” można czasem to i owo zdobyć.

25 V. Lech Piasecki zajmuje wprawdzie aż 60 miejsce w Giro d'Italia, ale został zwycięzcą 12 „etapu prawdy”, wygrywając jazdę indywidualną na czas długości 46 km i o 7 sekund wyprzedził R. Visentiniego i o 30 sekund lidera, G. Saroniego. Prasa włoska nazywa ten wyczyn sensacją, a zdjęcia

Polaka zdobną czołowe strony nie tylko sportowych gazet...

A tymczasem, gdy zabrakło Piaseckiego i Mierzejewskiego w naszym zespole, ponieśliśmy klęskę w tegorocznym Wyścigu Pokoju. Najlepszy z Polaków, M. Szerszyński, zajął dopiero 14 miejsce, a nasza drużyna — piąte. Bułgaria była lepsza i w końcowej fazie wyścigu zdetronizowała nas z czwartego — i tak niemedałowego — miejsca.

Nie ma potrzeby, aby rozdzielać szaty, w sporcie wszystko jest możliwe, ale trochę dziwi miłośników (i znawców, do których ja się nie zaliczam!) kolarstwa ta porażka. W ubiegłym roku sukces, a w tym — baty. Już tu i ówdzie czytam, że zbyt szybko pozwolił Piaseckiemu przejść na zawodownictwo. Do licha, a cóż to za dyscyplina, która opiera się na jednym-dwóch zawodnikach? Szerszyński, który miał być rezerwowym, po wycofaniu się Mierzejewskiego, zajął jego miejsce i okazał się w Pradze pierwszym z Polaków. Powtarzam: kolarz, który pojechał tylko przez zwykły przypadek!

Teraz przyjdzie czas na różnego rodzaju analizy, gdybania, zastanawianie się, jakie to błędy popełniono podczas przygotowań do startu. Czyby rzeczywiście forma przyszła zbyt wcześnie?

Nie zazdrozczę Szurkowskemu, który w wypowiedziach telewizyjnych i radiowych stara się nadrobić minę, ale może ta gorzka nauka przyda się w przyszłości? Za rok wyścig czterdziesty, jubileuszowy!

A swoją drogą wiele możemy się nauczyć od drużyny radzieckiej. Cóż za wyrównany poziom!

26 V. Totalizator Sportowy, jak się należało spodziewać, nie pominał mistrzostw świata w Meksyku, ale postanowił na nich dodatkowo zarobić... 1 300 000 złotych. Przygotował trzy zestawy par wraz z kuponami w cenie po dwa złote o łącznym nakładzie 1 300 000 egzemplarzy. Normalnie zestaw otrzymuje się za darmo, zaś kupon kosztuje złotówkę i to kupon z kalkami. Można grać również na normalne kupony blokowe, no ale zestaw par za te dwa złote trzeba kupić, ewent. przepisać w kiosku, ale komu by się chciało! W Totalizatorze więc ludzie myślą, a do gry przecież nikt nikogo nie zmusza.

Tymczasem nasi już w Meksyku. Ciekawostką jest, że zawiózł ich tam samolot Lufthansy za 50 tysięcy dolarów. LOT chciał ponoć 100 tysięcy dolarów i pięć milionów złotych. Cała sprawa jawi mi się bardzo tajemniczo, ale nie takie cuda się zdarzały.

Antoni Piechniczek na łamach „Panoram” podzielił się ostatnimi wrażeniami, pożalił się, jak to w swoim czasie drużyna olimpijska zepchnęła w cień trzecią drużynę świata. „Pogoda dla reprezentacji” nastąpiła dopiero po zwycięskim remisie z Belgią w Chorzowie. Piechniczek nie prorokuje, które miejsce zajmiemy w mistrzostwach świata, ale jest zdania, że trzeba się cieszyć z tego, co już osiągnęliśmy. Hiszpanie po wygraniu eliminacji powiedzieli: „Był w Meksyku to już zwycięstwo”. My od dwunastu lat jesteśmy w gronie najlepszych piłkarskich krajów świata. Takimi osiągnięciami nie może poszczycić się żadna inna dyscyplina sportu!

Pierwszy mecz czeka nas 3 czerwca. Jak wszyscy wiemy, zmierzmy się z drużyną Maroka. „Jeśli wygramy z Marokiem — twierdzi Piechniczek — będę uważał, że zrobiliśmy duży krok, powiedziałbym 90 proc. tego, aby wyjść z grupy. A co dalej, to już jest loteria...”

Naszych piłkarzy będzie karmił Andrzej Białkowski, szef kuchni hotelu „Victoria” w Warszawie, który po raz trzeci uczestniczy w Mundialu. „Fanatyk dobrej pracy” — mówi o nim Piechniczek. Jeśli fanatykami dobrej pracy będą i piłkarze, wówczas...

M. A. Jaworski

Lubelskim Mistrzom  
Sztuki Drukarzkiej  
w dniu Ich Święta  
serdeczne życzenia

składa

zespół „Kamena”

L UBELSKA wojewódzka organizacja partyjną na X Zjeździe PZPR reprezentowane przez 25 delegatów. Pięciu spośród nich otrzymało mandaty na konferencjach zakładowych. Najmłodsza delegatka urodziła się w 1959 r., najstarszy delegat — w 1908 r. (róznica: pół wieku i jeden rok!), a średni wiek delegatów wynosi 45 lat. Akurat tyle, ile ma Miroslaw Heraszewski, pilot-kosmonauta, zastępca komendanta Wyższej Oficerskiej Szkoły Lotniczej w Dęblinie, wybrany na Wojewódzkiej Konferencji Przedjazdowej w Lublinie.

Podstawowym zadaniem wspomnianej konferencji był wybór delegatów na Zjazd, ale konferencja zajęła też stanowisko dotyczące projektu perspektywicznego programu PZPR, przedstawiła propozycje i wnioski do uchwał X Zjazdu, a także zestaw najbliższych zadań dla wojewódzkiej organizacji partyjnej, wynikających z kampanii przedjazdowej. Ponadtoمبراني wysłuchali referatu Egzekutywy KW PZPR, wygłoszonego przez i sekretarza KW, Andrzeja Szpringera, nad którym z referatem rozwinęła się dyskusja. Głos zabrało 23 mówców, a 27 złożyło swe głosy do protokołu.

Referat Egzekutywy KW można scharakteryzować krótko: rzeczowy i krytyczny. Oto charakterystyczne fakty:

● Wojewódzka organizacja partyjna liczy obecnie prawie 50 tysięcy członków i kandydatów. Po kilku latach regresu jej liczebność można uznać za stabilną. Wśród 1367 kandydatów przyjętych do partii w ub.r. niemal połowę stanowili robotnicy i chłopci, w większości ludzie młodzi. Nie może jednak zadowolić skład klasowy wojewódzkiej organizacji partyjnej: robotnicy stanowią niespełna 30, a chłopci niespełna 15 procent ogółu. Słabe są siły partii w takich branżach jak: bu-

## KRONIKA KULTURALNA

\* W Filharmonii Lubelskiej wystąpił 30 maja światowej sławy skrzypek Grigoriy Zilber. Na program koncertu zostały się utwory Dymitra Szostakowicza, Jana Brahmsa i Nicolò Paganiniego.

\* Z okazji Dnia Działacza Kultury w wielu gminach i miejscowościach odbywały się uroczyste spotkania władz administracyjno-politycznych z działaczami kultury.

\* W Klubie MPIK przy ulicy Leonarda w Lublinie otwarta została wystawa rysunków dziecięcych uczniów szkół podstawowych, zorganizowana pod patronatem PCK. Hasłem ekspozycji jest „Zyjmy zdrowo, higienicznie, wszyscy na tym wygramy”.

\* Dużym zainteresowaniem, szczególnie wśród młodzieży, cieszy się organizowany od wielu lat przez Towarzystwo Przyjaciół Polsko-Radzieckiej Konkurs Recytacji Poezji i Prozy Rosyjskiej i Radzieckiej. Jest to impreza ogólnopolska, odbywająca się już po raz siedemnasty. W tegorocznych eliminacjach na szczeblu wojewódzkim w Lublinie wzięło udział prawie pięćset uczniów szkół ponadpodstawowych i podstawowych. Do eliminacji wojewódzkich zakwalifikowało się tylko 26 osób i one będą ubiegać się o udział w centralnych eliminacjach w Kolobrzegu.

\* W sali widowiskowej Lubelskiego Domu Kultury wystąpił 18 maja Teatr Żydowski z Warszawy z widowiskiem „W stawie i pieśni”. Zespół przybył na zaproszenie lubelskiego oddziału Towarzystwa Żydów Polskich.

\* W galerii klubu „Muza” w Lublinie czynna jest wystawa zatyulowana „Malarstwo metaforyczne”, zorganizowana przy współpracy BWA. Ekspozycje o podobnym temacie „Wyobraźnia i forma” będą jednocześnie przeglądem prac plastycznych studentów Instytutu Wychowania Artystycznego UMCS można oglądać w Lubelskim Domu Kultury.

\* W województwie białkopodlaskim tradycyjnie stał się już Wojewódzki Konkurs Artystyczny organizowany przez Muzeum im. Ż. I. Krasińskiego w Romanowie. Konkurs służy popularyzacji twórczości tego pisarza.

\* W sali koncertowej Państwowej Szkoły Muzycznej wystąpił 24 i 25 maja Chór Muzyczny z Warszawy, działający od 1971 r. przy stołecznym Domu Kultury Nauczyciela. Zespół ma w stałym repertuarze utwory kompozytorów polskich i obcych od epoki średniowiecza po współczesność.

\* Władze wojewódzkie podjęły niedawno decyzję o budowie w Lublinie nowego Domu Aktora, który ma stanąć przy ulicy Pogodnej. Rozpoczęcie budowy ma nastąpić w roku przyszłym, a zakończenie planowane jest na rok 1982! W tym to roku ma być oddany także do użytku budynek nowego teatru. Terminy te wydają się mało prawdopodobne, ale miejmy nadzieję, że budowlani ich dotrzymają i że, oczywiście, wystarczą na to pieniądze!

\* 21 maja rozpoczyna się podobno w Lublinie studencka Wiosna Kulturalna. Piszący podobnie, bo w mieście nie widać żadnych szczególnych oznak studenckiego święta kulturalnego. Jakies spotkania poetyckie i inne odbywają się jak donosią student, w klubie „Arcus”.

\* W czasie II Lubelskich Spotkań z Literaturą miłośna autorka tego rodzaju twórczości ubiegali się o „Laur Miedziowego Amora”. Na konkurs wpłynęło ponad 700 zestawów wierszy. Jury, któremu przewodniczył krytyk Janusz Termer, przynależ i nagrodę i statuetkę Miedziowego Amora Marianowi Januszowi Kawalca z Lublina. Gratulujemy!

# PO KONFERENCJI

downictwo, gospodarka komunalna, służba zdrowia, wyższe uczelnie, a zwłaszcza w środowisku studenckim.

● Zbyt często przynależność do partii manifestuje się tylko na zebraniach, natomiast nie przejawia się ona w sytuacjach związanych z pracą zawodową, z postawą w miejscu zamieszkania, z pracą w samorządzie, w organizacjach społecznych, związkowych i młodzieżowych. Brak dyscypliny widać szczególnie w postawach części kadry kierowniczej, w zachowaniu wielu członków partii zasiadających w organach samorządowych.

Cytat z referatu: „Zastanówmy się, towarzysze, czy w nawale codziennych obowiązków nie popełniamy starego błędu? Czy nie zamykamy się w kręgu wciąż tego samego aktywu? Czy nie za rzadko sięgamy do „nowych twarzy”, do młodych — choćby po to, by odświeżyć zacieraając się ostożkę widzenia problemów?”

● Tylko wnikliwe zainteresowanie życiowymi problemami ludzi pracy buduje trwały i prawdziwy autorytet partii i państwa. W ciągu czterech minionych lat z prośbą o interwencję, ze skargami i życiowymi problemami zwróciło się do KW łącznie 17 296 osób. Świadczy to o rozmiarach ludzkich trosk, ale także o wzrastającym zaufaniu do partii.

● Realizacja idei porozumienia narodowego to jeden z głównych kierunków działań politycznych i społecznych partii. Demokratyzacja życia spo-

łecznego i gospodarczego, następująca w oparciu o nowe ustawy, spowodowała jakościowe zmiany w funkcjonowaniu rad narodowych i samorządu terytorialnego, samorządów pracowniczych i spółdzielczych. Miniony okres to także czas odbudowy klasowego ruchu związkowego. Należy doń obecnie 52 proc. ogółu pracowników uspołecznionych zakładów pracy województwa.

Cytat z referatu: „Byłoby nierzetelne, gdyby w tej analizie przyczyn niezadowolającego postępu w ilościowej rozbudowie związków pominąć fakt, że aż 25 proc. członków partii w naszym województwie pozostaje poza związkami. Trudno jest zrozumieć postawę tych towarzyszy. Tym bardziej, że to właśnie partia podjęła trud odbudowy związków zawodowych...”

● Rezultatem pracy ideowo-wychowawczej z młodzieżą, są stopniowe pozytywne zmiany w jej postawach. Potwierdzeniem tego jest m.in. rozwój uczestnictwa młodzieży szkolnej w Olimpiadzie Wiedzy o Partii, zainicjowanie przez młodzież największych zakładów pracy czynów produkcyjnych i społecznych przed X Zjazdem, jak również pozytywne procesy zachodzące w działalności socjalistycznych związków młodzieży.

Cytat z referatu: „Podstawowy warunek skuteczności bezpośredniego oddziaływania partii w sferze wychowania to być wśród młodzieży. Nie bywać, nie kontaktować się z przedstawicielami, lecz być i wychowywać przez własny przykład. [...] Musimy mieć jednocześnie świadomość, że nasza nieobec-

ność, zaniechanie bądź zaniedbanie jest i będzie najszybciej wykorzystane przez przeciwnika ideologicznego dla własnych celów wychowawczych i politycznych”.

● Reforma zapoczątkowana została w momencie bardzo trudnym dla gospodarki. Osiągnęliśmy jednak w województwie widoczny postęp. Przemysł już w 1984 r. przekroczył o 3,6 proc. poziom produkcji z 1979 r. Pomyślnie zrealizowane zostały zadania przyjęte w planie na lata 1983—1985. Wzrosła wydajność pracy, poprawiło się zaopatrzenie rynku. Sytuacja jest jednak złożona. Dochód narodowy jest wciąż jeszcze niższy o około 10 proc. niż w końcowych latach siedemdziesiątych. Niedostateczny postęp osiągamy woszczędzaniu materiałów, surowców, paliw i energii, a efektywność wykorzystania czasu pracy i jakość produkcji pozostawiają wiele do życzenia. Niepokoją również zmniejszające się ilości oddawanych mieszkań.

Cytat z referatu: „Czy nie najwyższy już czas, by powstrzymać proces pochłaniania przez miasta urodzajnych terenów rolniczych? Są przecież w obrębie miast wielkie puste przestrzenie, lub obszary o bezwartościowej zabudowie”.

● Lata 1983—85 ukształtowały i utrwaliły pozytywne procesy społeczne i produkcyjne w rolnictwie. Uzyskane w ub.r. w porównaniu ze średnimi wynikami za lata 1980—84 zbiory zbóż były wyższe o około 10 proc., a ziemniaków o ok. 5 proc. Przekroczono o 14 proc. plan skupu żywności. Trudno się jednak pogodzić z rozpiętością produktywności naszych gleb i gospodarstw, ich udziałem w produkcji towarowej kraju. Osme miejsce pod względem jakości gleb i 30 lokata w kraju!

● Ogólna wartość zrealizowanych w województwie w latach 1983—1985 róż-

nego rodzaju czynów społecznych wyniosła 3 mld 63 mln zł, z czego 1 mld 382 mln zł to wkład własny ludności. W kraju — piąta pozycja w przeliczeniu na jednego mieszkańca.

● Wybory do Sejmu i rad narodowych potwierdziły, że droga wychodzenia z kryzysu jest słuszną. Na ogólną ocenę sytuacji społeczno-politycznej wciąż jeszcze wpływają takie niekorzystne zjawiska jak: nierównowaga pieniężno-rynkowa, braki zaopatrzeniowe, nieokreślona perspektywa dużych zakładów przemysłowych, niedostateczne zaopatrzenie w węgiel, dotkliwy brak mieszkań, trudne warunki oświaty i szkolnictwa wyższego.

● Rozmowy indywidualne dostarczyły gruntownej wiedzy o sile partii. Krytycyzm zawarty w wypowiedziach był nacechowany pragnieniem usunięcia trudności dnia codziennego i wszelkich barier uniemożliwiających pełne wykorzystanie zdolności produkcyjnych i intelektualnych. Krytykowane realizacje słusznych zasad polityki kadrowej, wskazywano na odradzanie się tzw. „układów” i „klikowości”. Piętnowano wszelkie formy łatwego bogacenia się, pasożytniczego trybu życia i niegospodarności. Wyrażano przekonania, że partia powinna stanąć na czele niezadowolonych społecznych.

● Projekty dokumentów partyjnych przed X Zjazdem znalazły się w centrum dyskusji. (Owoce: odpowiedni dokument).

Do problemów, poruszonych na Wojewódzkiej Konferencji Przedzjazdowej w Lublinie, będziemy wracać, znajdując one wyraz w naszej publicystyce również i po X Zjeździe PZPR.

(D)

## Obywatele na zabytkach

Marta Denys

NIEZBYT dawnymi laty jedynym prywatnym właścicielem zamku w PRL był — nieżyjący już dzisiaj — inż. Leon Kozłowski, pan na firlejowskich ruinach w Janowcu nad Wisłą.

Otrzymał je na własność jako honorarium za wykonywane na tym terenie prace geodezyjne. I przez pół wieku prawie gromadził i eksponował wszystko to, co udało mu się wydobyć spod rumowisk. W kilku ocalałych komnatkach obejrzeć więc można było fragmenty zbroi, myśliwskie przybory i trofea, stare księgi i lichterze oraz wszelki dworski sprzęt. Skorodowany, niekompletny, nadgryziony zębem czasu, wojen i korników. Żadne tam bogactwa, jak mniemali niektórzy, wiązać je z owym prywatnym posiadaniem zamku. Gdyby nie kolekcjonerska pasja inż. Kozłowskiego oraz pomoc, jaką wyświadczyła inżynierowi pewna, mieszkająca od lat w ruinach zamku, janowiecka rodzina przy odkurzeniu i ochronianiu tych relikwii, zarosłyby one chwastem i zapomnieniem. A tak kilka dziesiątków lat były dostępne dla zwiedzających Janowiec atrakcją turystyczną.

Pod koniec życia, w 1975 roku, inż. Kozłowski odsprzedał ruiny janowieckiego zamku państwu, przechodząc, jako ich prywatny właściciel, do miejscowej legendy. Firlejowskie ostańce poddane zostały poważnym badaniom i pracom konserwatorskim.

Wydana w 1978 roku Uchwała Rady Ministrów nr 179 uchyliła furtki naśladowcom inż. Kozłowskiego, aczkolwiek nie dosłownie, bo w innej skali posiadania i użytkowania. Zezwoliła wszelako osobom prywatnym nabywać od państwa na własność niewielkie obiekty zabytkowe, jak dworki, pałacyki, plebanie, wiatraki, a nawet chałupy i zabudowania gospodarcze.

Nie sposób odmówić słuszności takiemu sposobowi ratowania tych właśnie budynków. Państwoowy gestor bowiem — z racji swoich kulturalnych, oświatowych, administracyjnych czy rekreacyjnych zapotrzebowań — szuka raczej i wybiera większe obiekty. Cała więc ta dworkowo-wiatraczna drobniaczka pozostaje poniekąd na uboczu jego zainteresowań.

Zresztą upaństwowione w latach powojennych zabytkowe dworki, pałacyki, zajazdy, niektóre obiekty sakralne różnych wyznań — zamienione na szkoły, siedziby spółdzielczej i gminnej administracji, magazyny i składy, domy opieki, tymczasowe, lecz funkcjonujące latami, mieszkania dla pogrzelców, powodźnian, rodzin z tak zwanego marginesu, biedoty — nie wszystkie doczekały się należytej im rewaloryzacji czy choćby porządnego remontu. I pewnie już się nie doczekają. Pod walącymi się dachami, w rozstępujących się od wilgoci ścianach żyją przecież ludzie, których nigdy nie będzie stać na remont, do którego też i nie zawsze kwapi się miejscowa władza, choć z litery

prawa zobowiązana jest dbać o elementarne bodaj zabezpieczenie znajdującego się na jej terenie obiektu zabytkowego. Osiedleni tam mieszkańcy, nie mając innego wyjścia, czekają, aż się „jaśnie-pański” dwór do szczytu zawali. Państwowy zaś użytkownik co nie bywa wcale takim odosobnionym exemplum do cna, czyli bez dbałości i poszanowania dla zabytkowej wartości budynku, „wymieszka się” w nim i opuści, pozostawiając po sobie kompletnie zdewastowaną ruinę.

Próba ratowania chociażby niektórych z tych cennych obiektów jest, nazwijmy to, wtórna reprivatyzacja, której początek dała wspomniana ustawa z 1978 roku, obiecująca prywatnym nabywcom refundację części kosztów remontu i odbudowy zabytku oraz pierwszeństwo w zaopatrzeniu w materiały budowlane.

Na dworskich więc ostatnich osiadać zaczęli — z zaangażowaniem niemalych środków finansowych i własnej pracy — obywatele pieczętujący się, gdyby o „to” chodziło, wykształceniem średnim i wyższym, profesją zaś — rzemieślniczą, artystyczną lub naukową. Czy jest ich dzisiaj wielu? Według szacunkowych danych konserwatorskich, około trzystu w kraju. A w województwie lubelskim — dodając warszawiaków do lubliniaków, którzy osiedli (wakacyjnie i na stałe) w zabytkowych chałupach, wiatrakach i plebaniach w Kazimierzu Dolnym i Mięciemierzu, sprowadziwszy je tam uprzednio z innych miejscowości, oraz prywatnych właścicieli zabytków z okolic Lublina — „wyszło” mi ich około dziesięciu.

Jesienią ubiegłego roku miałam okazję przyjechać się rozpocząć odbudowę jednego z cennych dla naszego regionu dworów obronnych z pierwszej połowy XVI wieku w Jakubowicach Konińskich (Jakubowice Konińskie — od nazwiska właścicieli, a nie jak potocznie przyjęło Końskie). Ruina dworu na wypiętrzoną nieco brzegu Ciemięgi walczyła jeszcze z wysokimi na halabardę pokrzywami, ale cała sześciopiętrowa rodzina Wiesława Trumińskiego, bo on to właśnie podjął się dzieła przywrócenia dworu do życia, była już przy ceglach i na murach. Oprócz pani Zofii, która doglądała ogrodu. Trzeba było się spieszyć, by przed zimą nakryć mury dachem, bo inaczej cały trud poszedłby na marne. Tu przecież powstać zaczął ich nowy dom i przyszył warsztat pracy, na razie ojca-elektryka, a później może któregoś z synów. Każdy z rodziny Trumińskich, nawet najmłodszy, sześciolatek Sebastian, odkrył tu skarby z przeszłości dworu — monety, łuski naboju, detale architektoniczne, tarczę zegara słonecznego z XVII wieku — i każdy związał z tym powstającym domem-zabytkiem swoje plany i marzenia. No więc spieszyli się ubiegłej jesieni. Kłopoty były ogromne z wapnem. Na nic się zdają priorytety, kiedy brakuje wszystkim. Śnieg spadł już jednak na gotowy dach, pod którym schroniły się stare i nowe mury dworu. Dworu Trumińskich.

Dzisiaj widać go już z daleka. Pan Wiesław przystąpił do rekułtywacji stawu.

— Zaraz, gdy tylko podeschnie, pójdą spychać. A tutaj będą — objaśnia mnie — włoskie ogrody. Tu posadzę jody i lipy. Szkoda, że je ścieli poprzedni właściciel. Dach pokryty zostanie jeszcze raz papą, a potem albo drewnianym gontem, albo blachą. Z czterech stron ozdobią go stylowe lukarny.

Patrzę do środka, gdzie biegają jeszcze żyły instalacji, ale już niedługo będzie można tynkować. Elektrykom asystuje Sebastian; ledwo go poznałam, podrosł razem z dworem i zmężniał jakoś.

Dokończenie na str. 10



Rys. Józef Tarłowski

# Dotykanie korzeni

Lidia Wójcik

JESLI chciałoby się znaleźć dla te książki płaszczyzny porównania pola odniesień, trzeba ich poszukiwać chyba u Vincenza, może w prozie Miłosza Iwaszkiewicza, w esejach Stempowskiego. A więc u pisarzy pochodzących czy bytujących w obszarach pogranicza, uwikłanych w różnorodność i wielość kultur, móg obyczajów. Do tych pisarzy, noszących w sobie ową wielość kultur należy właśnie Andrzej Kuśniewicz. Sam zresztą podkreślał to gdzieś: „Jestem człowiekiem trzech kultur, bo moja babka była więcej niż pół-krwi Francuzką i od dziecka byłem też pod silnym wpływem kultury francuskiej, no a z drugiej strony ta austriacka. W rezultacie czułem się obywatelem świata raczej, nie związanym z polskim podwórkiem. [...] ja się dobrze czuję w różnych krajach”.

A jednak w ostatniej książce Kuśniewicza „Mieszani obyczajowe” obecny jest mocno, a właściwie to rzec by można, że jest bohaterem tej książki — problem „ojczyzny”. Pojęcie to stanowi nie tyle znaczenie geograficzne, co raczej mityczne, sytuuje się chyba bardziej w czasie niż w przestrzeni. Oznacza przede wszystkim wspólnotę ludzi, obyczajów, kultury, nie zaś narodów. Lwów, Tarnopol, Biała Cerkiew, ukraińskie wsie, majątki ziemskie, mała wieś, zapadłe miasteczko galicyjskie na przetrzeźni c.k. monarchii austro-węgierskiej stanowią wspólną ojczyznę dla Polaków, Ukraińców, Żydów, Rusinów. Dopiero zdarzenia dziejowe, pierwsza wojna światowa, docierające tam echa rewolucji radzieckiej burzą ten świat ludzkich wspólnot. Rodzą się nacjonalizmy, wrogość Ukraińców do Polaków. Ostateczną zaś rozsypanką tego świata stało się jak uważa Kuśniewicz — wkroczenie na te tereny w 1939 roku wojsk radzieckich i zaraz potem armii niemieckiej. Poszły w rozsypankę polskie dwory, popękaly cienkie linie graniczne na mapie. Na ich miejsce narosły podziały wspólnoty kultur, obyczajów, ludzi.

Stale podkreśla Kuśniewicz ten dramat wykorzenienia, wyobcowania i tę-

sknoty tych wszystkich, którzy wywodzą swe korzenie „stamtąd”. Nieobecność tamtej „ojczyzny” materialnie, przestrzennie nie musi być całkowitą jej utratą. Ona pozostała w stylu, świadomie wybranym, przechowywanym, pielęgnowanym, stylu bycia, trwania, i wreszcie, jak w przypadku Kuśniewicza, również stylu pisarstwa. Ten styl tkwi korzeniami swymi w przeszłości głębokiej i odległej, nie dającej się ogarnąć i pomieścić na przestrzeni życia pisarza. Wyrósł zapewne — jak należałoby chyba sądzić — z zagrożenia, z lęku przed perspektywą wykorzenienia. Bowiem świadomość wykorzenionych układa zwykle własną, wewnętrzną ojczyznę, własny odrębny styl, uciulany z ziarenek pamięci. Z nich wyrastają drzewa dające prywatny, osobny cień.

„Mieszani obyczajowe” stanowią książkę, którą trudno pomieścić w ja-

kichkolwiek szufladkach. Wszystkiego tu właściwie po trochu: wspomnień, powieści eseju... Podobnie jak rozległy pozostaje zakres problematyki: obyczaje, ludzkie biografie, rozważania historyczne. I w końcu zasięg czasu. Kuśniewicz opowiada biografie ludzi, a jednocześnie biografie miejsc, szlacheckich dworów, na przestrzeni wieku XX, sięgając stale jeszcze poza ten wiek, w czasy odległe, kiedy gdzieś tam braly swój początek historie rodów, szlacheckich domostw i posiadłości, i zaraz gładko przechodzi do dnia dzisiejszego. Wysupluje ludzi, którzy jeszcze ocaleli z tamtego świata, rozsypani gdzieś po świecie pośród obcych kultur, języków, odmiennych norm życia. Ta technika narracji, skupiająca w sobie jednocześnie różnorodność czasów, stałą przemienność czasu teraźniejszego i przeszłego, ma swoje znaczenie, tworzy właśnie smak tej książki. Potwierdza osobną jakością i wagą, jakie zresztą pisarstwu Andrzeja Kuśniewicza towarzyszyły zawsze.

Kuśniewicz pisze z dystansem, choć nie jest przeciwko zupełnie wolny od namietności. Zresztą to chyba niemożliwe, kiedy opowiada o „swoim” kresowym świecie, a właściwie trzeba powiedzieć konkretniej — o „byłej Galicji” bo dalej to już... Zaborze i — jak pisze — „Obce mi strony. Inny w ogóle świat na tym całym Zaborze. Dwuznaczny, nieprzychylny, wręcz wrogi. [...] chłopcy nawet latem w kożuchach, w baranich czapach, na horyzoncie jakaś rozsypana w polach, w pustce, w zamleci wieś z prawosławną cerkwią w drzewach. Wschód całą gębą! Miał wiele racji nieboszczyk lord Curzon, gdy tu wyznaczał granice Europy”. Więc potem, jak powiada Kuśniewicz, gdy ów Wschód się przybliżył i jednocześnie przygnieciony został nadciągającą z zachodu siłą niemiecką, wszystko się jakoś pomieszało; hrabina z Zahajec musiała uchodzić ze swych posiadłości, dziedzic z Demidówki ukrywał się w lasach pod nazwiskiem ukraińskiego chłopca, a Żydówka z jakiejś karczmy czy

## Najcieniej na świecie

Irena Filus

**N**AJWYŻSZY głos na świecie? Brzmi to nieprawdopodobnie. Gdzie nagrania, pieniądze, sława? Dla przyciągnięcia publiczności ktoś niewprawnie dopisał na afiszu: „Śpiewa flażoletami”. Reklama prasowa była nieco pełniejsza: Głos Olgi Sz wajgier obejmuje cztery i pół oktawy, sięga „c” pięciokresłowego.

To było przed Koncertem Perfekcjonistów w Malmö, w Akademii Muzycznej. W szranki stanęli najlepsi artyści. Po próbie podszedł do niej dyrektor szwedzkiej telewizji, zaglądał do gardła. Szukał wmontowanego aparatu.

Osobowość niezwykła. Talent. Predyspozycje? Też potrzebne, ale przede wszystkim czas, lata całe. Znakomicie opanowana technika klasyczna. Studia u Leokadii Kukawskiej i Stanisławy Hoffmanowej, w krakowskiej szkole. Praca w Operze Bałtyckiej. Potem bunt, chwila refleksji; wybór drogi. Powiełać Callas czy Caballé? Nie zdoła ich przerosnąć. Zawsze jednak można

przerosnąć samą siebie. Pierwsze próby. Kilkanaście sekund, żeby nie przeforsować strun. Ogromna wibracja i napięcie. Wielki eksperyment, który trwa.

Początek to był Festiwal. Rok 1977. Stałowa Wola. „Młodzi Krzaczycy, młodemu miastu”. Pieśni Krzanowskiego, Schaeffera, Rychlika, Ivesa.

Pierwsze sukcesy i pierwsze miliony... lirów za wykonanie w Peruggi Psalmu XIX Castiglioniiego, z orkiestrą krakowską i chórem. Można by czuć się szczęśliwym. Tylko trzeba podróżować ze złotówkami w kieszeniach, mozolnie ciulanymi na bilet samolotowy i na suknie w cenie biletu. A bagaże lecą do Londynu, zamiast do Amsterdamu. W halu hotelowym ciepło i przytulnie, spać się chce. Dodatkowe stresy, o których nie wiedzą słuchacze. W kraju nie placą w milionach. Serwują niespodzianki. Przegrzany pociąg. Ziąb na dworze. Okna w pokoju hotelowym nie zabezpieczone, brak ciepłej wody. Her-



Olga Sz wajgier

Fot. Andrzej Olanda

Co nowego?

Rozmowa

z dyrektorem Przedsiębiorstwa RSW „Prasa - Książka - Ruch” w Lublinie Zbigniewem Frącem

— Oprócz podstawowej, czysto handlowej, od lat prowadzicie na szeroka skalę zakrojoną działalność kulturalną. Wszyscy dobrze pamiętamy lata rozkwitu idei ruchu klubowego powstanie w kraju kilku tysięcy klubów prasy i książki, głównie w terenach wiejskich, owych popularnych „klubów Ruchu”, powołanych z inicjatywą i przy pomocy Przedsiębiorstwa. Było to prawdziwe novum. Dziś już mniej się słyszy o tych klubach i ich działalności, rzecz poszła jakby trochę w zapomnienie,

przynajmniej na łamach gazet. A zatem: co nowego, panie dyrektorze, co słychać z klubami prasy i książki?

— Może zacznę od tego, że od roku 1980 datuje się dość znaczny spadek liczby tych klubów, zwłaszcza w wsi. Spadek ten zauważa się także w regionie, w którym działa nasze lubelskie Przedsiębiorstwo, a więc w woje-

sklepiku nosiła suknie i wiatroczki krabiny, podarowane przez nowych, radzieckich zarządców majątności, a... Ale wrócić może jeszcze do czasów wcześniejszych.

Wprawdzie druga wojna zniszczyła i przekreśliła ostatecznie dawny świat, ale według Kuśniewicza już rok 1914, a pierwsza wojna stanowi właściwie taką pierwszą istotną granicę pomiędzy nową i starą rzeczywistością. Chociaż ta bariera roku 1914 wzbogaciła właściwie tamten świat wielością zjawisk politycznych, społecznych. Od tej daty zaczyna się przecie to, wokół czego obracał się świat wielu Polaków w latach dwudziestych i trzydziestych: potach dwudziestych i trzydziestych; pojawiają się Legiony i postać Piłsudskiego. Kuśniewicz pokazuje, jak wiele to wszystko znaczyło, oczywiście, nie tylko od strony „wysokiej” polityki, historii. Opowiada, jaką wagę miała postać Komendanta w ludzkich życiorysach, jak wszelkie „przećwi” albo „za” wobec tej postaci mogły łatwo ludzi łączyć lub dzielić i w końcu jak posła związana z tym wszystkim legenda. Opowiada o dziwacznej wspólnocie tych wszystkich, którzy „rankiem szóstego sierpnia 1914 wyruszyli spod Olean-drow na wielką łcie Conradowką przygodę, której na imię Wolność”. I wreszcie pisze, jak wiele znaczył jakiś wuj czy krewny były legionista, był dumą rodziny, znajomych, choć to przecie nie wszystko.

Wyobraźnia literacka Kuśniewicza wibruje nieraz na stronę prób swoistych rozstrzygnięć historycznych. Pojawia się, choć dyskretnie i jakby w dalszym planie, próba oceny sprawy 1920 roku, i to jakby z dwu stron, polskiej i radzieckiej. Stale powraca ją w książce Kuśniewicza rozważania na temat historii, w formie jak by było, gdyby... nieco bezkształtne i postrzępione, ale przez to może dużej wagi, jak choćby obecny w wielu miejscach tej prozy problem tzw. Wolnej Ukrainy.

I te historyczne, czy nawet natury politycznej, pytania przepiękają się i współistnieją obok opisu dworów, obyczajów... Kuśniewicz próbuje przywracać tamten świat w najdrobniejszych szczegółach, z równą właściwie pasją pisze o zdarzeniach dziejowych i o rozmaitych drobniactwach codziennego życia. O owadach i roślinach, o połowaniach, potrawach, winach. O uroku Hotelu George'a we Lwowie, Wierzbowej i Trębackiej w Warszawie, w Warszawie, do której jeździło się wówczas z Galicji jakby za granicę. Ale z tego wszystkiego składała się uroda życia w owych Demidówkach, Zahajcach, Czahorówkach, zapadłych w głąb Ukrainy, lecz przecie nie dalekich od świata, bo ludzie stamtąd stale bywali „we Wiedniu”, Berlinie, Rzymie, Paryżu. Stamtąd przywozili wiedzę, że nosi się płaszczki burberry, albo kapelusze firmy Habig, używa się wody Yardleya albo Houbigouna. Bo wówczas równie ważne było, co się nosi, jak to, co się jada, z kim się rozmawia, gdzie się bywa...

Dzisiaj wszystko to wydaje się jakoś starszowieckie i nawet dziwaczne, i pojmujemy przecie, jak wielką przepaść kulturową rozdziela dwie sąsiadujące z sobą epoki. I jeszcze może jedno trzeba dodać. Umieć odpowiedzieć, skąd jesteśmy, może określić na mapie swoją Demidówkę, Zahajce czy Tarnopol, i nawet porzucone odnaleźć i pielęgnować w pamięci, w sobie, czuć swoje korzenie — to punkty, wokół których krąży Kuśniewicz. I poczynamy nagle rozumieć, jak wielką ma to wagę i ciężar gatunkowy.

Andrzej Kuśniewicz: „Mieszani obyczajowe”; PIW Warszawa 1985

## Okolice sztuki

# Mimochoodem

3 MAJA w telewizyjnej „Panoramie lubelskiej” pokazano fragment aukcji dzieł sztuki, która odbyła się w Zamościu, a cel miała służyć. Mistrz kamery zrobił przy tym wiele, by przekonać abonentów TV, że w mieście Moranda żyją tłumy kolekcjonerów. Co prawda tylko jeden z nich podbił licytację, demonstrując zresztą niejakie zakłopotanie, ale mrowie luda, głowa przy głowie, dawało podejrzenia telewizzka, że mamy do czynienia z inscenizacją. Gwoździem tego programu okazał się fakt, że jedno z licytowanych płócien osiągnęło cenę 150 tys. zł. To bardzo dużo — jak na Zamość, jak na Warszawę także. Można by zauważyć, że magnackie tradycje renesansowej perły są ciągle żywe.

Ale prawdziwym hufnałem imprezy stało się coś innego, mianowicie to, że w posiadanie owego kosztownego dzieła wszedł człowiek dość młody, barczysty, rosły, o twarzy otwartej i ramionach równie dobrze pasujących do „połoneza”, jak do „ursusa” czy snopowiażki.

Postawiony przed kamerą, oko w oko z bystrym dziennikarzem, kolekcjoner ów wyznał, że zbiera czasami, a ten oto cenny obraz zabiera do domu, bo po prostu chce. Wzruszające, szczere, bezpretensjonalne.

Wiadomy program TV oferował wiele jeszcze innych informacji, pokazał oblicze redaktora naczelnego „Tygodnika Zamojskiego”, który patronował aukcji...

Tylko jedną sprawę pominięto: autorstwa obrazu. Nie podając, kto namalował płótno, rozwodono się nad przebiegiem handlu, cenami i pozartystycznym celem aukcji. Normalne, banalne, swojskie. Niestety.

4 maja w programie I telewizji wystawiono kilkunastu reportaż (?) pt. „Zajechał wóz do Olkusa”. Jak wiadomo, w tytułowym mieście było i chyba jest jeszcze sporo srebra, zatem dziennikarz poruszył ów cenny temat w rozmowie z pewnym artystą, pracującym w tym tworzywie. Posługując się metodą kolarzy prostych bezpośrednich, redaktor zagadnął na wstępie i całkiem serio:

— Czyli jest pan srebrnikiem?!

— Nie, jestem złotnikiem.

Nieważne, jak brzmi nazwisko autora obrazu i czy praca ta w ogóle wyszła spod ręki człowieka. Lepiej nawet, gdy malarstwem zajmuje się np. pies, bo wtedy pisze się o fenomenie, wiecześnie go na japońskiej taśmie filmowej.

Nie potrzeba wiedzieć, jaka jest różnica między srebrnikiem a złotnikiem, by realizować reportaż z miasta srebrnej tradycji. Wystarczy mieć etat i polecenie służbowe.

Najciekawsze przecie, że nie wystarczy być malarzem i architektem, by trafnie ocenić sytuację w środowisku artystycznym, w sztuce samej. Oto Marian Makarski stwierdził ze smutkiem (w „Sztandarze Ludu” nr 109), że w lubelskiej plastyce panuje marazm, ludzie nie kontaktują się z sobą, ambicje twórcze wyparła komercja.

Dawniej, wzdycha, w okresie ZPAF, było zupełnie inaczej...\*)

Pomijając kilka zasadniczych kwestii, wartych wyjaśnienia i przypomnienia, zażenowanym milczeniem nakrywając problem „smugi cienia”, i mnie wszak nieobcy, pozwól sobie tylko zwrócić uwagę Makarskiego na kilka faktów, wypełniających minione 12 miesięcy.

Otóż w tym okresie Piotr Kmieć otrzymał I nagrodę, Grzegorz Dobieszaw Mazurek — IV, Mikołaj Smoczyński — wyróżnienie na 40 Jubileuszowym Salonie Zimowym w Radomiu, natomiast Piotrowi Lechowi przyznano jedną z dwóch nagród, ufundowanych przez Jiri Anderlega dla młodych, wybijających się uczestników I Międzynarodowego Triennale Sztuki „Przeciw Wojnie”, otwartego w ubiegłym roku pod patronatem UNESCO! Warto też wiedzieć, że minionego roku Sławomir Mielecki otrzymał wyróżnienie w ogólnopolskim konkursie na pomnik Jazdy Polskiej, a podobną premią uhonorowano niedawno Marię Górecką — za projekt pomnika Matki Polki dla Łódzkiego Centrum Zdrowia, projekt przygotowany na konkurs, w którym uczestniczyło wielu artystów polskich. Obrazy Macieja Bijasa wyróżniono najwyższą nagrodą pierwszej wystawy Okręgu Rzeszowskiego ZPAMIG, który skupia artystów z kilku województw, m.in. z lubelskiego. Na tym nie koniec, albowiem Złoty Medal II Zimowego Salonu Rzeźby w Warszawie otrzymał Bogdan Markowski, lublinianin będący wiceprezesa stołecznego oddziału Związku Artystów Rzeźbiarzy (który powstał jeszcze przed rozwiązaniem ZPAP, kolega Makarski)...

Dodajmy, że lubelscy malarze, graficy i rzeźbiarze biorą udział w najważniejszych wystawach ogólnopolskich, mają ekspozycje indywidualne w cenionych galeriach (w Poznaniu, Wrocławiu) — słowem nie zaspacają gruszek w popiele cudzych frustracji i rozczarowań. Zwraca przy tym uwagę rosnąca aktywność młodego pokolenia — to już chyba „zmiana warty” — oraz fakt, że lubelskie życie plastyczne zaczyna koncentrować się wokół Instytutu Wychowania Artystycznego UMCS, z pominięciem BWA, które niegdyś spełniało ważną rolę środowiskowego stimulatora, a dziś...

Marian Makarski zdaje się tego nie dostrzegać, choć np. IWA leży na linii: kościół przy al. Kraśnickiej — redakcja „Sztandaru Ludu”.

Owszem, nie wszystko w Lublinie jest cacy, bywa, że złotnika zwie się srebrnikiem, a malarza rozmienia się na złotówki. Nim jednak popłaczymy się z tego powodu, wspomnijmy, jak to w dawnych dobrych czasach, jakieś 20 lat temu, jeden i ten sam obraz zmieniał tytuł: na wystawie okręgowej w BWA neutralnie zwał się „Kompozycja w czerwieni”, by na wystawie w poobozowym baraku stać się znakiem walki.

IJK

\*) Do felietonu M. Makarskiego nawiązał już wcześniej, w poprzednim numerze „Kamery”, M. A. Jaworski.

baty nie robi nikt, bo wszyscy śpią. Za ścianą balanga... Chciałoby się zawsze dawać ludziom piękno.

Widzę ją teraz z obwiązanym gardłem. W angina złapana od Ani. Starsza córka jeszcze się trzyma. Krakowskie mieszkanie jak wiele innych. Stabilny slums własnościowy, „Kulturotwórczy” — dodaje Olga. Bo nikt się nie buntuje przeciw ekwilibryście głosu. Bo są oddani kulturze i sztuce. Niedzielne przedpołudnie. Pokój napełnia się ciepłym światłem słońca. Naturalne drewno mebli nabiera blasku. Jedyny luksus to filiżanki z chińskiej porcelany. Piję herbatę. Na talerzyku ciasto (z zakajsem). Na moja czek.

Do pokoju jak burza wpada mała Ania. Niesie list dla mamy. Uczy się pisać. Na kartce widnieją pojedyncze wyrazy złożone z nieudolnych liter. Potem ukladają się w logiczną całość: „Kochani rodzice, chcę mieć kotka. Zapewniam, będę go bardzo kochała”. Tesknoty wszystkich dzieci. W tych warunkach nie do zaspokojenia. Maż Krzysztof-kompozytor także często wyjeżdża. Dzieci zostają u sąsiadów. Bez menażerii.

Siedzimy w salonie-sypialni-pracowni. Rekwizyty: stół, telewizor, biblioteczka, kanapa, pianino. Partytury — wiele dedykowanych Oldze, kilkadziesiąt prawykonań. Współcześni kompozytorzy stosują dziwne techniki zapisu. Zdają krótki egzamin. Co mi to sugeruje? Elektrokardiogram. Kompozytorze porzuciła na zrobienie pulsacji. Partytura Bogusława Schaeffera. Na myśl przychodził płaki. Można użyć krytyki. Zależę od muzyki idącej z taśmy. A tutaj spróbowałem obrysować głosem albo dać dźwięk, nie piękny, nie klasyczny, ale chropawy. Gdzie indziej na płóciolinie widnieją krytyki, na różnych poziomach, gwiazdeczki zamiast nut. Obok nuty pisane tradycyjnie. Nie ma określonej konwencji. Rzadko coś jest podane precyzyjnie. Reszta to sugestia. Kwestia szacunku dla wykonawcy, dla partaera, dla współtwórcy dzieła.

Cofamy się do okresu baroku. Na przykład Bach. Jeśli nawet utwór do-

kładnie zapisał, to istniały duże możliwości improwizacyjne. Każdy z tego korzystał. A dzisiaj muzyka stała się muzealna, gra się ją opieszale. Specjaliści zasłaniają się tradycją. A cóż to jest tradycja? Bach, być może, grał inaczej, bo akurat zjadł wspaniały podwieczorek.

Dzisiaj Olga rezygnuje z obiadu. Ma gości. Dzieci wychodzą z ojcem. Coś zjeść. Potem na spacer. Na Wawel albo na cmentarz Rakowicki, albo na Stare Miasto. Tam uczą się historii. Mieszkają koło grobów królewskich. Wierzą w monarszą opiekę. Olga też wierzy. Wierzy jeszcze w pracę.

Codzienna zależność od tramwaju. Od tego, jak długo stoi na pętli. Później jazda przez miasto. Szkoła Teatralna. Zajęcia z emisji głosu. Chciała być pedagogiem. Czy zdąży studentów czegoś nauczyć? Może chociaż rozbudzi zainteresowania, otworzy. Niech będzie źle, ale pewnie. Inaczej nie ujawnią osobowości. Wspaniały ludzkie pokłady twórcze zostaną uśpione.

Zmierza. Olga zapomina o gardle. Przypomniała sobie o nagrodzie. Alejandro Rossi, Argentynczyk, skomponował Ancestral Rites. Prawykonań na konkursie im. Serockiego. II nagroda. Taśma powędrowała do Paryża na Międzynarodową Trybunę Kompozytorów. I nagroda. Ubiega się o nią kilkadziesiąt radiofonii. Być może podróż do Południowej Ameryki.

Olga Szwajgier niedługo zdejmie szalik. Odsłoni cenne struny. Zaśpiewa znów. Najcenniej na świecie.

wództwach: białkopodlaskim, chełmskim, lubelskim i zamojskim. W najlepszych czasach było tych klubów 360, w ostatnim roku — 330. Jest to — trzeba zresztą podkreślić — spadek nieco niższy niż przeciętnie w kraju.

— Z jakich przyczyn wynika zmniejszanie się liczby klubów prasy i książki?

— Idea klubów ucierpliała u progu lat siedemdziesiątych. Istnieje także opinia, że nie zawsze tego typu placówki, nie tylko placówki RSW, spełniają oczekiwania środowiska wiejskiego. No cóż, dzisiaj elementem przyciągającym do klubu nie może być telewizor, nawet kolorowy. Z doświadczeń i obserwacji wynika, że podstawowym elementem właściwej, dobrej pracy klubu jest aktywność jego społecznej rdy.

— Czyli ludzi, którzy potrafia się w tego rodzaju pracę naprawdę zaangażować.

— I wiele klubów może pochwalić się taką właśnie sytuacją.

— No dobrze, ale to chyba nie wszystkie przyczyny takiej lub innej egzystencji, czy w końcu istnienia lub nieistnienia, poszczególnych klubów?

— Myślę, że nie bez znaczenia są tutaj twarde rygory reformy gospodarczej, od której zasad nasza firma nie jest wszak w żadnym względzie zwolniona instytucja, która reprezentuje, posiada tę specyficzną „urodę” ze wszystkich — i zresztą kolarzy i powodzenie — swoją funkcją gospodarczą z funkcją zapisaną w statucie RSW, a dotyczącą rozwijania działal-

ności kulturalnej na rzecz szeroko rozumianego upowszechniania kultury. Dodam tu, że nasze Przedsiębiorstwo łoży na tę działalność kilkadziesiąt milionów złotych rocznie. Z tych środków finansuje się przede wszystkim działalność klubów międzynarodowej prasy i książki. A jest ich w naszej strefie dziewięć, to znaczy jedna dziesiąta wszystkich KMPiK-ów w kraju.

— Dzisiaj właściwie trudno sobie wyobrazić większe miasto bez obecności „empiku”.

— Racja. Są to placówki absolutnie niekwestionowane. Spełniają niezwykle istotną rolę w życiu kulturalnym swojej miejscowości. Są stale otwarte. To bardzo ważne. Pamiętajmy, że wiele różnego rodzaju klubów, na przykład zakładowych, otwiera się de facto jedynie wówczas, gdy ma się w nich odbyć jakaś impreza. Sprzedając książki, prasę, reprodukcje itp., prowadzą KMPiK-i tym samym dość szeroką działalność upowszechniającą. Wspomnijmy ponadto te wszystkie prelekcje, odczyty, spotkania autorskie, wystawy plastyczne czy nawet występy piosenkarzy, aktorów z monodramami, wreszcie — kabaretów.

— Nie wspominał pan o kursach języków obcych i roli, jaką spełnia ten rodzaj działalności klubów KMPiK.

— No właśnie. Chciałbym także podkreślić, że nie bez znaczenia, choć to się może dzisiaj wydawać zupełnie już

oczywiste i naturalne, jest fakt dostępności w czytelnich KMPiK-ów szerokiego serwisu prasy krajowej i zagranicznej. I tutaj rzecz charakterystyczna. Obserwujemy obecnie wzmożone korzystanie z tej prasy przez uczniów, studentów oraz emerytów. Działalność klubów międzynarodowej prasy i książki będziemy nadal hołubić szczególnie, wiążąc ją z potrzebami natury ideowo-politycznej.

— Wróćmy może jeszcze na chwilę w teren.

— Podobny profil działalności, o której powyżej, chcieliśmy rozwijać w odniesieniu do terenowych klubów. Pewnie, oferta kulturalna jest tu siłą rzeczy znacznie uboższa; nie tylko za sprawą wielkości środków finansowych. Serwis prasy nie przekracza trzydziestu egzemplarzy, wyposażenie owych klubów też jest znacznie skromniejsze. Dokonania w pracy klubowej — podkreślić to raz jeszcze — są warunkowane umiejętnością kajarzeniem inicjatyw lokalnej i tą, którą my, Przedsiębiorstwo, proponujemy.

— Ale spójrzcie tu i ówde o zakupach Przedsiębiorstwa na likwidację niektórych klubów, tych słabo pracujących.

— To są płótki. Aktualnie nie mamy absolutnie żadnych intencji ograniczania liczby klubów terenowych. Natomiast chcielibyśmy, żeby placówki nowe organizowane dysponowały naprawdę odpowiednim standardem i już niejako w momencie startu rokowały

nadzieję na prawidłową działalność. W tym roku przewidujemy zorganizowanie kilkunastu klubów terenowych. I trzeba tutaj dodać, że zainteresowane tym miejscowe władze z własnej inicjatywy zapewniają nam odpowiednie lokale i „doposażenie” owych klubów w sprzęt audiowizualny. I wreszcie bardzo istotna kwestia: w placówkach terenowych chcemy mocno akcentować sprawę obecności książki. Przez tworzenie bibliotek klubowych (ponad połowa klubów już takie biblioteki posiada), poszerzanie ich księgozbiorów oraz skierowanie szerzego strumienia książki do sprzedaży na terenie wiejskim. W ostatnich dwóch latach sprzedaż książek na wsi — za pośrednictwem naszych klubów — wzrosła o sześćdziesiąt procent. Jest to, w skali kraju, najwyższa dynamika sprzedaży. Dodam, że przeciętne w tym terenie są bardzo ubogie w sieć księgarni. W ten sposób choć trochę łagodzą zapotrzebowanie wsi na książkę.

Rozmawiał: M.D.

## Wojciech Prochniewicz

### JEZ

Raz poleciał Jeż fryzjerom,  
by ostrzygli go na zero.  
Więc zaczęto ścinać igły,  
które już Jeżowi zbrzydły.  
Od fryzjerów ostrzyżony,  
Jeż gładziutki, wygolony,  
Zachwycony swą osobą,  
Wszedł do sklepu z garderobą.  
Wysmienity kupiec Raczek  
Sprzedał mu nowiutki fraczek,  
Butki i sweterek w serek  
Oraz śliczny cylinderek.  
Wyszedł Jeżyk na ulicę:  
— Swych znajomych wprost zachwyć!  
Nagle zamarł... Dojrzał wilka!  
Wystarczyła mała chwilka  
Dla straszego tego zwierza:  
Kłapnął, młasnął — nie ma Jeża!  
Najwspanialsza taka skóra,  
którą daje nam natura.

### PROMYK I LISZC

Na maleńki listek opadł ciepły promyk,  
Błysnął złotą nitką i zmienił się w plamkę.  
Dziwi się liść mały, wizytą zdumiony:  
— Dlaczego przybywasz do mnie wczesnym rankiem?

— Nie dziw się mój listku tą nagłą wizytą —  
Zamigotał promyk podróżą zmęczony.  
— Przynoszę ci ciepło i świeżutki kolor,  
Żebyś przez dzień cały mógł być tak zielony.

### KAMIENICA

Zasnęła snem kamiennym  
Stara kamienica.  
Noc wleczę długi welon  
Po kocich łbach ulicy.

Okna już zatrzaśnięto,  
Jak zmęczone powieki.  
Kominem w dół się sączy  
Sen o krajach dalekich.

## Zbigniew Kościński

# WYPRAWA

**W**MIARĘ, posuwania się naprzód chłopcy zauważyli, że dno lochu coraz bardziej zasłane jest gruzem. Po kilku minutach grupa natrafiła na owe czaszki i kości, o których mówił Andrzej. Jakoś tym razem nie wywarły one na nikim wrażenia. Dalej korytarz był zatarasowany zwałem kamieni — przy poszarpanym tu stropie pozostała tylko wąska szczelina, przez którą od biedy każdy z chłopców mógł się przecisnąć.

— Dzisiaj nie warto próbować — powiedział Andrzej.

— A może by chociaż Grzesiek zobaczył, co jest po drugiej stronie tego zawalu? On ma na sobie kombinizon — wtrącił nieśmiało Tadek.

— Dobry pomysł — poparło go kilku.

— W takim razie wiaź! — rozkazał Andrzej.

Grzesiek szybko wspiął się na zwal gruzu i wpełznął w szczelinę między ową szczególną barykadą a sklepieniem lochu.

— Dajcie latarkę! — krzyknął z góry.

— Czemuś jej ze sobą nie wziął?

— Zapomniałem. No, dawajcie szybciej to światło!

Na piramidę wszedł Wojtek. Grzesiek, uzbrojony już w latarkę, wleciał się do połowy ciała.

— Z drugiej strony jest taki sam loch — powiedział do kolegów stojących na dole.

Jeszcze nie schodził. Po chwili informował dalej:

— Z pięć kroków stąd jest większa komora. Widzę jakąś otwor, zawalony do połowy kamieniami. To wszystko.

— No to schodź! Wracamy — zdecydował Andrzej.

Gdy cała grupa doszła już do rozwidlenia korytarzy, Zbyszek zaproponował, żeby zobaczyć jeszcze lewy loch. Nikt się nie sprzeciwił — chcieli dzisiaj zwiędzić jak najwięcej.

Lewy korytarz wiódł nieco w dół. Z początku nie miał żadnych zakrętów, potem jednak zaczął biec zakosami, a poziom się wyrównał. Od czasu do czasu chłopcy natrafiali na niewielkie gruzowiska. W pewnym momencie Bolek zauważył na ścianie taki sam znak

koła, jak tam, gdzie znajdowała się nisza, w której Grzesiek znalazł szkatułę.

Chłopcy spróbowali, czy nie da się wyjąć jakiegoś kamienia. Ale ściana tutaj była jednolita. Zbadali ją od dołu do góry. I nic. Z przeciwległą było podobnie.

— A dno? — wysunął przypuszczenie Zbyszek.

— Racja. Co głowa, to rozum — pochwalił pomysł Andrzej.

Systematycznie przeglądali każdy metr podłoża. Na próżno.

— Tu nie ma niczego godnego uwagi — Andrzej skłonny już był zrezygnować z poszukiwań.

— Ale przecież jest taki sam znak, jak przy tej niszy — Wojtek upierał się przy ponawianiu prób. — Nie umieszczono go tu chyba bez przyczyny.

— Spójrzcie! — wykrzyknął nagle z triumfem Jacek, wskazując na jakiś kamienną płytę, ledwie widoczną spod gruzu i ziemi.

— Tu jest nawet żelazna klamra — powiedział Bolek.

Rzeczywiście — w kamienną płytę wmontowany był metalowy uchwyt, przysypany warstwą pyłu. Trudno go było zauważyć, tym więcej że mocno zardzewiała, zlewał się z kolorem czerwonego piaskowca, z którego zrobiono pokrywę. Kilku chłopców uchwyciło żelazną rączkę, ale piaski kamień nawet nie drgnął.

— Nie damy rady — ocenił Andrzej.

— Próbuje jeszcze — upierał się Grzesiek.

Większość była podobnego zdania. Andrzej odstąpił od swego. Jednak mimo że prawie wszyscy ciągnęli za klamrę, płyta nie dawała się poruszyć.

— Tu trzeba łomu — podsumował akcję Bolek.

Ostatecznie musieli więc zrezygno-

wać. Poszli jeszcze kawałek dalej tym samym lochem. Natrafili na mur zamykający korytarz. Chcąc nie chcąc, trzeba było wracać.

— Powinniśmy jeszcze zwiędzić lewy korytarz od pierwszego rozwidlenia. Tam nie byliśmy — Tadek koniecznie chciał przeżyć dzisiaj jakąś kolejną przygodę. — Przecież jest wcześniej — uzasadniał swój projekt.

Andrzej oświadczył latarką zegarek. Dochodziła dopiero jedenasta.

— Możemy tam pójść — zgodził się.

— Ale jeszcze przed obiadem zajmemy się otwarciem tej skrzynki. Kto ją ma? Okazało się, że nikt. Gdzieś ją musieli zostawić. Ale gdzie?

— Kto najpierw ją niósł?

— Ja — przyznał się Wojtek. — A-ale ko-ko-ko 'ego ka-amieniste-ego za-awalu odda-ale-ale ją Bo-olkowi. To by-ulo wte-eddy, kiedy wdra-apalera się na górę z la-atarką dla-a Grze-e-ka — jakal się ze zdenerowania.

— Pamiętam, że miałem ją jeszcze przy tym znaku, gdzie próbowaliśmy podnieść tę płytę. Musiałem położyć skrzynkę na ziemi. No nie? — powiedział Bolek.

— Niech teraz pójdzie po nią — podsunął Jacek.

— Idźcie we dwóch — poleciał Andrzej. — I od razu wracajcie. My tu zaczekamy.

Nie upłynęło nawet dziesięć minut, a już obydwaj pojawili się z powrotem, zadyszani i przerażeni. Jednak szkatuły nie przynieśli. Zarzucono ich pytaniami.

— Co się stało? Gdzie skrzynka?

— Nie... nie doszliśmy... do tamtego... miejsca — Bolek nie mógł złapać tchu.

— Tam... ktoś... jest — uzupełnił słowa kolegi Jacek.

— Jak to? Widzieliście kogoś? — wypytwał Andrzej.

Rys. Szczepan Sadurski



SADURSKI.

## Urszula Gierszon

### KRASNAŁ

Jestem Krasnał, mam sto lat,  
mówią na mnie także Skrzat.

Jadam muszki i okruszki,  
bo malutkie mam paluszki.

Mieszkam sobie w mysiej dziurce,  
a czasami bujam w chmurce.

W moim świecie, mówię wam,  
eudów, bajek — cały kram.

Poziomkowych drzew bez liku,  
domki z grzybków i z pierników.

Moja długa broda biała  
wiele dziwów już widziała.

Mam czapeczkę, minę hardą,  
chodzę sobie z halabardą.

I pilnuję, by do bajki — będę szczery —  
nie wtargnęły komputery.

### MARZENIA MARGOSI

Dziecięce marzenia  
goście we mnie śmieiej  
Bądźcie kolorowe  
Królowy — Niedziele

Te wasze spódnice  
z gwiazdami w falbanach  
tulą moje myśli  
w różowych snach-czarach

Może bym ja była  
gdyby nie technika  
wielką czarownicą  
w domeczku z piernika

Może jeszcze będę  
cudowną królową  
i Anka z Dorotą  
przy mnie trochę zbledną

Może będę jutrem  
będę kiedyś żoną  
lub stanę się źródłem  
z piękną rzes koroną



Gdybym nawet była  
ziarenczką piasku  
przeturlałabym się  
tam gdzie więcej blasku

## RYSUNEK LILKI

Amarantowy perz  
w liliowych okularach  
amarantowy krzew  
amarantowy barak

Nawet rudy kot  
w amarant się ustroił  
pełen różowych cnót  
liliową mysz zaniepokoił

Odpywa pociąg w dal  
po różowych polach  
amarantowa stal  
amarantowe ziola

Skąd ten różowy świat?  
— pytam małą Lilę

— Przecież to jest tak  
popatrz tylko chwilę

## ZABAWA MOTYLI

Barabaśnik z lilią  
wśród powoi tańczy  
z niebieskawą myślą  
czarownik samozwańczy

A z biedronką Błobło  
fruwa Daromilomek  
nad nadziei groblą  
w takt wrażeń poziomek

Pąsowy Grubaśnik  
z Waśnikiem Wrzosowym  
odwiedzili ptasznek  
w gaju brzoźowym

Tylko Trupia Główka  
samotny na łące  
dziwny napój pije  
i gania zajęc

## Apolinary Nosalski

### WESOŁE SŁONKO

Gdy na wycieczkę  
wyjeżdżamy,  
wesołe słonko  
rusza z nami.

Ściga się z naszym  
autokarem,  
raz w raz wyprzedza  
nas się stara,  
bawi się z nami  
w chowanego:  
kiedy my w prawo —  
słonko w lewo,  
kiedy my w lewo —  
słonko w prawo.

Wreszcie znudzone  
tą zabawą,  
wybiega naprzód  
w las, daleko  
i na polanie  
na nas czeka.

## ZŁOTA PODKOWA

Kary konik  
szczerozłotą  
miał podkowę  
i po niebie  
ciemną nocą  
galopował  
Strącał gwiazdy  
kopytami  
z Drogi Mlecznej  
aż gdzieś zgubił  
pożłocistą  
podkóweczkę  
A podkowa  
złotym łukiem  
spadła z nieba  
i zawiśła  
na najwyższym  
czubku drzewa  
Potem ludzie  
się dziwili  
tej podkowie  
i mówili:  
— Jaki piękny  
księżyc w nowiu!

— Nie. Słyszeliśmy tylko... kroki —  
Bolek był wyraźnie speszony.

— Idziemy po skrzynkę wszyscy —  
rozkaż Andrzej.

Nie uszli jednak nawet dwudziestu  
metrów. Z głębi korytarza dobiegł ich  
odgłos ciężkich kroków. Od czasu do  
czasu coś brzękało metalicznie. Chłop-  
cy rzucili się do ucieczki, jak gdyby  
pchnięci niewidzialną siłą. Wkrótce  
znaleźli się przy drugim rozwidleniu,  
licząc od wejścia do lochów. Zatrzy-  
mali się, niepewni, w który korytarz  
skręcić. Zastanawiali się nad tym, na-  
słuchując jednocześnie owych dziw-  
nych kroków. Ale odgłos, który tak  
przeraził całą siódemkę, ucichł. To  
chłopców uspokoiło. Mieli jednak no-  
wy kłopot — jak trafić do wyjścia.

— Czekaście — zabrał głos Zby-  
szek. — Pomyślny bez nerwów. W  
tamtą stronę szliśmy lewym koryta-  
rzem. Z powrotem ten, w którym był  
kamienny zawał, powinien być na le-  
wo. A włęcz właściwy, prowadzący do  
wyjścia, jest teraz po prawej.

— Racja — potwierdził dociekania  
Zbyszka Jacek.

Przy następnym rozwidleniu nie mie-  
li już większych wątpliwości — trzeba  
było z kolei skręcić w lewo. O zwie-  
dzeniu innych korytarzy nie było mo-  
wy. Gdy wyszli na dziedzińiec zam-  
ku, odbyli krótką naradę. Nad ustale-  
niami zdecydowanie przeważały pyta-  
nia. Kto mógł być oprócz nich w tych  
lochach? Czego tam szukal? Co się  
stało ze szkatułą? Czy ten ktoś ją za-  
brał? Co w niej może być? Większość  
opowiadała się za skarbem.

— Ja dzisiaj po obiedzie pójdę po  
skrzynkę — oznajmił Andrzej. — Kto  
ze mną?

Siódmoklasiści mieli na jutro dużo  
lekcji. Musieli z żalem zrezygnować z  
tej wyprawy, choć nęciła ich ona nie-  
zmiernie.

— Żeby nie polak i matka — mar-  
twił się Tadek. — A ty co zrobisz  
z lekcjami? — zapytał Andrzej.

— Zdamy wleczorem.

Ostatecznie więc na tę drugą w dniu  
dzisiejszym wyprawę mógł zgłosić się  
oprócz Andrzeja tylko Zbyszek i wino-  
wajca zagubienia — Bolek.

Cała grupa poszła najpierw do przy-  
wódcy akcji „lochy”. W takim stanie,  
umorusani dosłownie po uszy, nie  
chcieli się pokazywać rodzicom. An-  
drzej miał ten sam problem. Udało mu  
się szczęśliwie uniknąć spotkania ze  
„starymi” — drzwi otworzyła młodsza  
siostrzyczka Hania. W tajemnicy przed  
rodzicami wyniósł kolegom szcztotki do  
ubrania i butów, a także pastę. Chłop-  
cy oczyścili się i umyli na dworze, do-  
prowadzając swój wygląd do jakiegoś  
takiego porządku.

Wszyscy uniknęli konfliktu z rodzi-  
cami, którzy nawet nie zaniepokoiłi  
się tym, że ich pociochy przepadły  
gdzieś na całe niedzielne przedpołudnie.  
Po prostu nie wiedzieli o niebezpiecz-  
nej wyprawie. Tylko matka Grześka  
wyraziła swoje niezadowolenie z nie-  
obecności syna w domu.

Zbyszek nie mógł się doczekać go-  
dziny czwartej, na którą był umówio-  
ny z Andrzejem i Bolkim. Niecierpli-  
wość go dosłownie rozsądzała. Przy-  
szedł do zamku już na pół godziny  
wcześniej. Nikogo tam nie spotkał. Wo-  
kół panowała cisza, tylko lekko szu-  
miał w ruinach wiatr. Zbyszekowi zo-  
biło się nieswojo. Przypomniał sobie  
tajemnicze kroki w podziemiach. Ni-  
stąd, ni zowąd ogarnął go lęk. Prze-  
rażenie chłopca wzmoгло się, gdy usły-  
szal jakiś szelest. Czyżby było to ob-

jawem tchórzostwa? Ale przecież po-  
dobno nawet najodważniejsi obawiają  
się czegoś w pewnych sytuacjach i nie  
mogą opanować lęku. Zbyszka niepo-  
koila przede wszystkim ewentualność  
spotkania z owym nieznanym, który  
też interesuje się lochami. „Co bym  
zrobił, gdybym go nagle zobaczył?” —  
myślał chłopiec. Ku jego ułudze okaza-  
ło się, że to nadchodzi Bolek.

— No i co? Andrzeja jeszcze nie  
ma? — zapytał kolega.

— Nie.

— Ale ty masz minę. Jak byś ducna  
zobaczył. No nie?

— To ty niby masz być tym du-  
chem? Duchy podobno poruszają się  
bezszelestnie. A ty hałasujesz jak  
czołg — zażartował Zbyszek, choć głu-  
pio mu się zrobiło, że kolega dostrzegł  
jego zaniepokojenie.

Andrzej pojawił się punktualnie.  
Przyniósł ze sobą ten sam kombi-  
nezon i sznur, które mieli rano.

— Czy wzięliście latarki? — zagad-  
nął.

Okazało się, że i Zbyszek, i Bolek  
o tym zapomnieli.

— Muszę myśleć za was wszystkich  
— w głosie Andrzeja zabrzmiała naga-  
na, jednak także zadowolenie z włas-  
nej zapobiegliwości. — Na szczęście  
przyniosłem dodatkową. Trochę mało,  
ale od biedy wystarczy.

Do podziemi weszli ostrożnie, nasłu-  
chując, czy nie dobiegnie do nich od-  
głos kroków tajemniczego osobnika.  
Przestraszyli się trzepotu spłoszonych  
niepoterzy, choć byli na to przygoto-  
wani. Teraz wydało im się, że to może  
nadechodzący nieznanemu spowodował  
niepokój zwierzątek. Bolek nawet rzucił  
się do ucieczki. Gdy zorientował się,  
że to oni sami spłoszyli niepoter-  
rze, zawrócił zawstydzony.

Dalej szli spokojnie, choć napięcie  
ich nie opuszczało. W pewnym mo-

mencie Zbyszek dostrzegł na ścianie  
wielki cień człowieka. Z trudem po-  
wstrzymał okrzyk przerażenia. Wskazał  
milkąco ręką na ową sylwetkę. Cała  
grupa się zatrzymała. Chłopcy przy-  
glądali się uważnie zarysowanemu  
ścianie kształtowi. Nie wiedzieli, skąd  
ten cień, skoro dokoła prócz nich  
było nikogo.

— To przecież twoje własne, Zby-  
schu, odbicie — zaśmiał się po chwili  
Andrzej. — Oświetliłem cię latarką i  
oto skutek.

Mimo to chwilę nasłuchiwali, czy  
przypadkiem nie dobiegnie do nich  
ktoś podejrzany odgłos. Zatrzymali się  
co kilkanaście kroków. Gdy stwie-  
dzali, że nie ma nic ciszy podziemi,  
szli dalej ostrożnie. Minęli pierwsze  
rozwidlenie. Tym razem bez wahania  
skręcili w prawy korytarz, zaś przy  
drugim rozgałęzieniu — w lewy. Pa-  
plycie z metalowym uchwytem zaczęli  
nasłuchiwać, jednocześnie z niepoję-  
nym szukając szkatuły.

— Jest! — zakrzyknął z radością Bo-  
lek, który ją pierwszy dostrzegł.

— Masz szczęście. Gdyby się nie mo-  
jała, dostałbyś od nas za swoje —  
mruknął Andrzej. — Teraz ty będziesz  
niósł skrzynkę — zwrócił się do Zby-  
szka. — No to, chłopaki...

Nie dokończył jednak tego zdania.  
Głos zamarł chłopcu w gardle. Oto  
pod kamienną płytą rozległ się dźwię-  
ny, nieokreślony dźwięk: ni tu szu-  
miony warkot silnika, ni to głódny  
chrobot.

Fragment powieści dla młodzieży „Tajem-  
ny kras”, która ukazuje się nakładem Lubel-  
skiego Oddziału Krajowej Agencji Wydaw-  
niczej. Akcja toczy się współcześnie w  
Kazimierzu Dolnym nad Wisłą.



— 6 —

# Na linii frontu

Feliks Kępa

**P**O trzech tygodniach „sielanka” w Oratino skończyła się 21 czerwca 1944 r. Zgrupowanie Commando zostało przerzucone na odcinek adriatycki do Monte Pagano. Stąd, po kilku dniach postoju na niezłych kwaterach, przeniesliśmy się 30 czerwca do Porto San Giorgio, ładnego, rozłożonego nad samym morzem, miasteczka. Wśród bujnej zieleni ogrodów stały tu liczne eleganckie wille, wokół rozciągały się winnice i gaje oliwkowe schodzące ku wspaniałym, piaszczystym nadmorskim plażom. Niestety, postój w Porto San Giorgio był zbyt krótki; już w cztery dni później kwaterowaliśmy w Monte Lupone, nad rzeczką Aspio wpadającą do Adriatyku. Tutaj Zgrupowanie Commando zostało przydzielone do 2 Brygady Pancernej gen. Bronisława Rakowskiego. 5 lipca zostaliśmy przesunięci do Castelfidardo nad rzeką Musone.

To nasze bezustanne, nieczym nie zakłócone posuwanie się na północ włoskiego „buita” było konsekwencją działań 3 Dywizji Strzelców Karpackich, która — od 15 czerwca w pościgu — pędziła Niemców wzdłuż brzegów Adriatyku, od Pescary do rzeki Chienti, gdzie dopiero opór nieprzyjaciela zaczął stawać się twardszy.

21 czerwca oddziały 3 DSK uderzyły z marszu na 278 Dywizję Piechoty, główny trzon wojsk nieprzyjacielskich, dowodzoną przez niemieckiego generała porucznika Harry Hoppego. Do przełamania niemieckich pozycji nad rzeką Chienti nie doszło, nieprzyjaciel po pewnym czasie wycofał się dalej ku północy. W dziesięć dni później, 1 lipca, Dywizja Strzelców Karpackich osiągnęła rzekę Musone i tutaj doszło do zwycięskich bitew o Castelfidardo i Osimo, ważnych punktów strategicznych w planowanym przez 2 Korpus Polski boju o zdobycie Ankony.

Na południowy wschód od Castelfidardo, bliżej morza, leży miejscowość Loreto, ze słynną bazyliką Matki Boskiej Loretańskiej. Dlatego bitwy stoczone w tym rejonie określa się mianem bitew loretańskich lub też pierwszą bitwą o Ankonę.

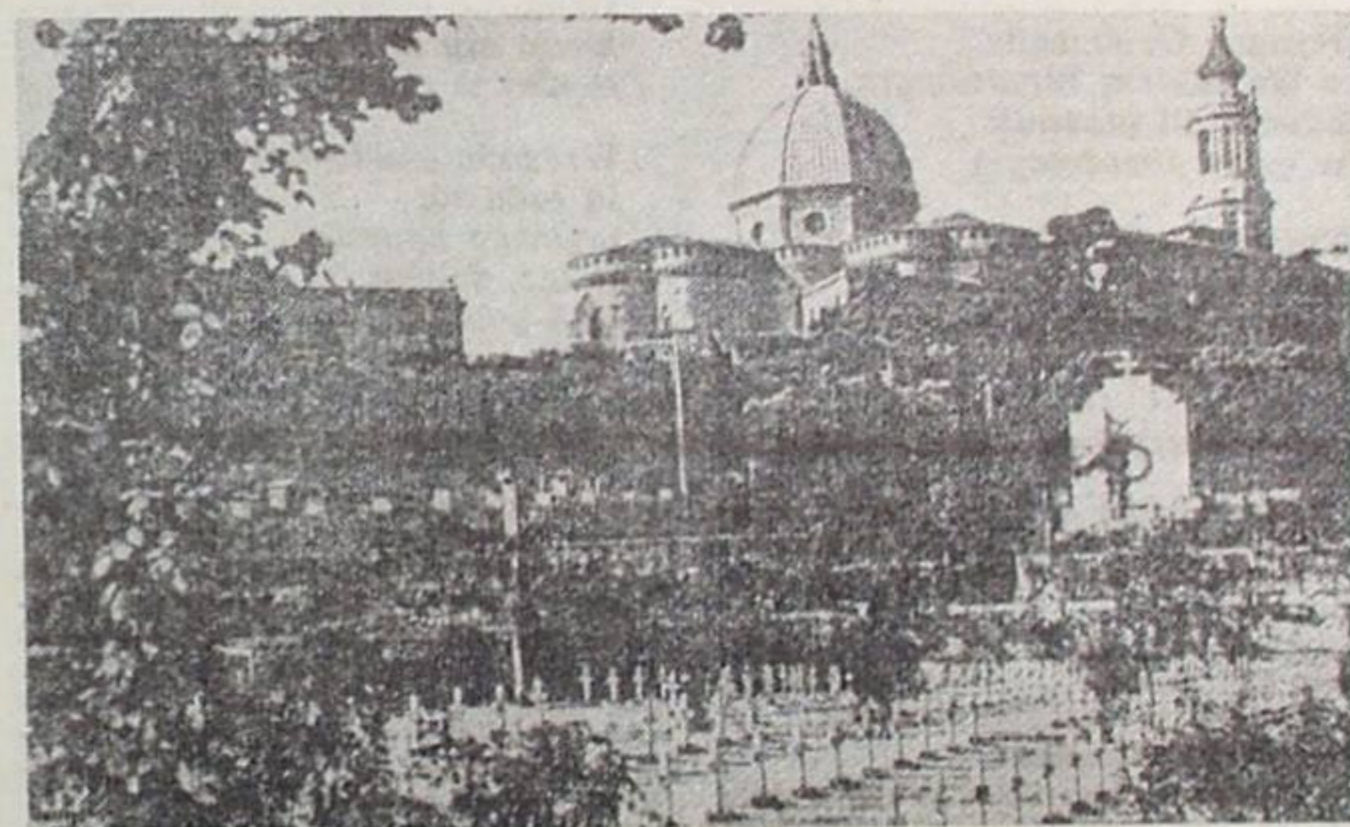
Oddziały pościgowe 2 Korpusu, natarając na coraz silniejszy opór i obronę Niemców, rozwijały coraz większe siły, wprowadzając je na pole walki. Po naszym dotarciu do Castelfidardo byliśmy świadkami końcowych walk 3 DSK w rejonie Osimo oraz walk, działającej na lewo od karpac-

czyków, 5 Kresowej Dywizji Piechoty generała Nikodema Sulika. W Castelfidardo 3 Kompania „Commando” — prawie już w warunkach bojowych — zajęła kwatery-stanowiska w fabryce instrumentów muzycznych (produkowano tutaj harmonie i skordeony) oraz ruinach przyległych budynków. Przy okazji stan postadania oddziału powiększył się o kilka... zdobytych harmonii.

W nocy z 5 na 6 lipca byliśmy świadkami bombardowania przez samoloty niemieckie odległego o kilka kilometrów, za rzeką Musone, miasta Loreto, gdzie stało wówczas dowództwo 3 Dywizji Strzelców Karpackich. Był to drugi — i największy — z pięciu niemieckich, przeprowadzanych zawsze tylko nocą, nalotów. Brało w nim udział około 30—40 bombowców typu Junkers 87, nadlatujących w falach po 12 samolotów. Niemieckie lotnictwo poniosło tej nocy największe straty. Myśliwce oraz artyleria przeciwlotnicza zestrzeliły wiele nieprzyjacielskich maszyn. Podczas nalotu zginęło 3 polskich oficerów i 10 szeregowych, rannych zostało 5 oficerów i 23 żołnierzy. Bomby nie oszczędziły bazyliki Matki Boskiej Loretańskiej; zostały uszkodzone wieża i kopuła, a bomba zapalająca spowodowała pożar dachu kościoła. Pożar ugasił żołnierze 3 kompanii saperów oraz żołnierze z kwatery głównej 3 DSK. Za ten czyn Pius XII uhonorował uczestników akcji specjalnym papieskim odznaczeniem; aktu dekoracji dokonał w kilka miesięcy później, 8 października 1944 r. w Civita Nova, biskup polowy ks. Józef Gawlina Ppor. Jerzy Bawarowski otrzymał wtedy Złoty Krzyż „Pro Ecclesia et Pontifice”.

Akcję saperów 3 DSK upamiętnia znajdujący się w Kaplicy Polskiej bazyliki loretańskiej witraż: „Gaszenie pożaru kopuły bazyliki przez żołnierzy polskich”, wykonany w 1955 r. przez G. C. Giulianiego, według projektu Artura Gatti.

W ciągu trzech dni pobytu w Castelfidardo 3 Kompania „Commando” — choć jeszcze nie na pierwszej linii walki — powąchała już dobrze niemieckiego prochu: efektów działań nieprzyjacielskiego lotnictwa oraz jego artylerii, której dalekie pociski zahaczały o Castelfidardo. Widok — z naszych punktów obserwacyjnych — walk o Osimo, przyległe osiedla i mniejsze wzgórza, uświadomił nam wyraźnie, że znajdujemy się już w obliczu wroga, że spotkamy się z nim bezpośrednio w najbliższych dniach, a może i godzinach.



Comentarz żołnierzy polskich u stóp bazyliki w Loreto.

Repr. Robert Lipski

Studiowaliśmy pilnie krajobraz oraz mapy okolicy, w której przyjdzie nam wkrótce walczyć. Loreto i rozsiane wokół niego miejscowości są rozłożone na północnych stokach Monte Ciotto, wznoszącego się 177 m nad poziom morza, i szeregu innych podobnych wzniesień. Od południa ogranicza ten falisty krajobraz rzeka Potenza z kilkoma bliżej położonymi potokami i dość głębokimi rowami oraz urwiskami. Od północy — co nas bardziej interesowało — rozciąga się dość szeroka dolina rzeki Musone, z jej lewym dopływem, rzeką Aspio, oraz całym kompleksem mniejszych lub większych potoków i rowów, które miały być w krwawym boju (w drugiej, głównej, bitwie o Ankonę w połowie lipca) forsowane przez oddziały 2 Korpusu. Wszystkie te rzeki i potoki kierują swoje wody z zachodu na wschód, wpadając do lazurowego Adriatyku, z jego rozległymi piaszczystymi plażami, ciągnącymi się nieprzerwanym pasmem wzdłuż łagodnej linii brzegowej. Ogólnie — teren w tym dość szerokim pasie nadmorskim jest pagórkowaty, pocięty polami, z licznymi domkami i zabudowaniami gospodarskimi z kamienia i cegły Pola — w pełni wykorzystane polne winnice, sady owocowe, ogrody warzywne, lany kukurydzy,

pszenicy i innych zbóż. Nieużytki pokryte są różnego rodzaju krzakami karłowatymi drzewami, ostrokrzewem oraz, często, wysoką szorstką trawą i rozmaitymi na wół suchymi mchami. Większe wzniesienia — raczej kamieniste i mało dostępne — wznoszą się na znaczną wysokość. Monte Colombo na 247 m, Monte Conero na 572 m. W dali, na zachodzie, wypiętrza się ku niebu wysokie pasmo Apeninu Umbryjsko-Marchijskiego.

Z samego zaś Loreto rozciąga się ku wschodowi wspaniała panorama, zwieńczona błękitną tafią, odległego o pięć kilometrów od miasta, Adriatyku. A między miastem i plażami — morze zieleni: tej dziko rosnącej, i tej troskliwie kultywowanej: winnice, ogrody, gaje oliwkowe i kwiaty...

8 lipca dowódca 2 Korpusu oddał całość Zgrupowania Commando pod rozkazy dowódcy 3 DSK, generała Bronisława Ducha Tego samego dnia ciężarówką przewiozły nas bocznymi drogami z Castelfidardo na nadmorski odcinek Korpusu, broniony dotychczas przez Pułk Ulanów Karpackich (pod dowództwem majora Stanisława Wysskoty-Zakrzewskiego). Był on wzmocniony 3 kompanią 5 baonu Strzelców Karpackich pod dowództwem porucznika Adama Puzonia.

Pułk Ulanów Karpackich tkwił na tych pozycjach już od ośmiu dni. A mianowicie od wieczora 3 lipca, kiedy to, uchwyciwszy około godz. 18.00 most na rzece Aspio w rejonie Monte S. Pellegrino, przesunął swą osłoniętą barierę na wschód od szosy nr 16, wiodącej z Loreto do Ankony, i już o zmroku zdobył rejon przylegający od południa do Monte Freddo. Wydzielony szwadron pułku dotarł prawie do leżącej nad samym brzegiem morza, na północny-wschód od Monte Freddo, Numany. O dziesiątej wieczorem wziął przez zaskoczenie, przygotowany przez Niemców do wysadzenia, most na południowym skraju Numany. I od tamtej pory nie dał go sobie odebrać. Przez te wszystkie dni ulani i żołnierze 3 baonu pozostawali w bardzo trudnych warunkach, pod stałą obserwacją i ciągłym ostrzałem ze strony nieprzyjaciela.

Tak się złożyło, że dowódcą kolumny transportowej przewożącej Zgrupowanie Commando był ppor. Grabowiec, który jeszcze jako podchorąży opuścił wiosną 1942 r. 2 Baon Strzelców „Kratkowane Lwiątko” w Cuper w Szkocji (z którego to batalionu rekrutowała

# O hejnalach i trębaczach lubelskich

Ludwik Gawroński

**P**O trzynastu latach wracam do tematu, poruszonego na łamach prasy lokalnej „grania przez trębacza tradycyjnego hejnału lubelskiego z balkonu Bramy Krakowskiej. Moje propozycje w tym przedmiocie pozostały — jak dotąd — bez odpowiedzi, bowiem kogo w Lublinie obchodził jakiś tam hejnał! Dopiero w styczniu br. sprawę tę poruszył „Kurier Lubelski” pisząc m.in. że wraz „z uruchomieniem nowego zegara, a ma to nastąpić na początku kwietnia, usłyszymy wreszcie po wielu latach przerwy hejnał lubelski”. Nie usłyszeliśmy. Przepomnijmy więc przynajmniej dzieje owego hejnału, którego tradycje sięgają pierwszej połowy XVII wieku; pierwszym znanym z nazwiska trębaczem był w owym czasie Bartłomiej Piotrowicz.

Wybór przez radę miejską najwyższych wień jako strażnic i utrzymywanie na nich trębaczy, wygrywających hejnały, związane były przede wszystkim z bezpieczeństwem miasta i znane już w XIII wieku. Początkowo do zadań trębaczy należało granie rannego i wieczornego hasła wskazującego stróżom w bramach miejskich porę ich otwarcia lub zamknięcia. Poza tym informowanie o pożarze w mieście lub okolicy, zaś w czasie wojny o zbliżeniu się nieprzyjaciela.

# W taksówce nie wolno się kochać...

Henryk Więclawski

Miało się wydarzenia i wesole, i smutne, groźne i ciekawe. Kierowca siadając do taksówki nie mógł być pewny, że mu się w czasie jazdy nic nie wydarzy. Nie było monotoni nigdy, wyrabiała się u kierowcy żyłka hazardowo-sportowa. Przestrzegalem jednak przepisów drogowych, a szczególnie zważałem na to, aby mieć światła wieczorem i w nocy, aby tylko nie narażać się policji i nie płacić karnych mandatów...\*)

**J**EST w Lublinie około tysiąca trzystu zarejestrowanych taksówek osobowych. Duża rotacja kierowców nie pozwala na precyzyjne określenie ilości. Nie o ilość tu wszakże chodzi, lecz o jakość.

Do druku przygotował: Miroslaw Derecki





# W taksówce nie wolno się kochać...

Dokończenie ze str. 9

paliwa wystarcza na dwa tygodnie normalnej pracy. O samochod można się ubiegać po siedmiu latach i to bez gwarancji otrzymania go. Jakoś sobie jednak radzimy. I w naszym zawodzie istnieją niedomówienia, zawodowe tajemnice. Niech takimi pozostaną.

Spryt i cwaniactwo panowały wśród kierowców taksówek. Traktowano uboczne, często nieuczciwe dorobki jako inicjatywę. Warszawscy kierowcy taksówek, wzorując się na paryskich, prześcigali się w koncepcjach, jak wykiwać pasażera, co się nazywało: wystawiać na frajera. Mieli się potem czym chwalić, gdy się zbierali na postojach.

Dzisiaj ludzie są za bardzo inteligentni, żeby dać się nabierać. Niech mi pan znajdzie teraz takiego, nawet z najbardziej zapadłej wioski, który by chciał kupić kolumnę Zygmunta. Panuje opinia, że łatwo oszukać pijanego. Kto jednak dzisiaj stanowi nocne towaryzstwo? Słusznie po wypłacie, nie dopily drobny rzemieślnik (bo rekiny bawia się w stolicy), goście imprezowi, studenci. Jakim cwaniactwem można się tu wykazać. Chyba tylko bardzo tanim.

Zdarzali się i tacy pasażerowie, którzy chcą się rankiem po bibce zdrzemnąć, siadali do takiego jak mój fiata. Takie kursy były bardzo dochodowe. Często pasażer polecał jechać na spacer, ale nie mówił dokąd. Wiozłem więc śpiącego w Aleje, czasem zaś do Wilanowa i jeszcze dalej!

Kogo dzisiaj na to stać. Pasażer potrafił panu zrobić awanturę, że wybrał pan inną trasę, niż on sobie wymarzył. A przecież dla nas najlepszy jest krótki kurs. Tego nikt nie bierze pod uwagę. Dzisiaj ludzie ostrożnie liczą złotówki. Jeśli ktoś używa taksówki na co dzień, robi przy tym naprawdę duży interes. Na przykład kwaciarczy są naszymi stałymi klientami. Mogą pana jednak zapewnić, że na tym nie tracą.

Mieliśmy na Nowym Świecie przy Chmielnej stalego nocnego rozmówcę. Był to redaktor, jakiej gazety, nie pamiętam już. Zawsze po 24 wychodził z Ordyńskich po dobrze zakrapianej kłótni. Przystępował do grupy taksówkarzy stojących na chodniku. Często walczył drogimi papierosami. Zakładał nam mowę przeplatana polityką i anegdotalami.

— Dziwaków nie brak i teraz. Sam wiozłem kiedyś pasażera, który mówił, że spieszy się do swojej dziewczyny, która zatrula się proszkami. Kiedy spytałem, ile dziewczyna ma lat, powiedział że czterdzieści. Mówił, że dotknął jej nóg i były zimne. Nic nie mogłem z tego zrozumieć. A człowiek był całkowicie trzeźwy. Inny znowu poprosił mnie na postój, bym pozwolił mu nacisnąć klakson. Trzy razy sobie zatrąbił przeciągle, zapłacił mi trzysta złotych i poszedł. Może chodziło o jakiś zakład.

Trudno nieraz było zrozumieć Żyda, czy chce jechać na dworzec Wileński, czy Wiedeński, jak nazywali obecnie dworzec Główny. Gorzej jeszcze było zrozumieć obcokrajowca.

Takie problemy mają raczej kierowcy w naprawę dużych ośrodkach: w Warszawie, na Wybrzeżu, w Krakowie. U nas cudzoziemiec niezmiernie rzadko wsiada do taksówki. Coraz rzadziej. Jest w Lublinie sporo arabskich studentów, ale oni też nauczyli się już inaczej patrzeć na pieniądze polskie i swoje. Jeśli mają ochotę się zabawić, jadą do Warszawy. Wtedy polują na mercedesa. Może być gruchot i staruszek, byle miał markę. W nocy jeżdżą rzadko. Jeśli już, to grupowo. Może się boją.

A zatem to taki miły, grzeczny i normalny zawód?

Normalny na pewno. Ciężki i niebezpieczny. Przywiozłem sobie z zagranicy takie urządzenie na gaz. Teraz czuję się pewniejszy. Niech pan wybierze się z nieznanym na przejażdżkę nocą przez las. A filmów typu „Zapis zbrodni” nie oglądam. Czego oczy nie widzą... Zarobki wyższe niż na państwowej posadzie, ale z dużymi wahaniami. Raz sześćdziesiąt tysięcy miesięcznie, kiedy indziej dwadzieścia. Wysiętek niewspółmiernie większy. Miałem jednak wokół tego zawodu narosło zdecydowanie za dużo. Niech pan mnie jeszcze zapyta, kiedy ostatni raz byłem w kinie, teatrze, na imprezie alkoholowej, i jak często ogląda mnie rodzina. Ale to choroba. Mnie już nic z niej nie wyleczy.

A więc normalny, zwyczajny zawód, wymagający trudu i poświęcenia. Budując domy, odsyając żony na kuchenne emerytury, narzekając taksówkarze na czasy, życie i układy. Wybierając sobie pasażerów lub pokrzykując na nas za głośniejsze kłopoty drzwiami obwoła w skupieniu swą „pańskości” i niezależność.

I tylko te zawodowe niuanse, które mają nieco zwyczajność, i nutka melancholii, z jaką mówią o swym, obrosłym już głęboką tradycją, fachu...

Henryk Więclawski

Motto oraz wszystkie cytaty znaczone kursywą służące za ukierunkowanie wypowiedzi pochodzą z książki Mariana Sekowskiego pt. „Pamiętnik warszawskiego taksówkarza”.

# Ekran i widz

## Kosmiczna zgrzywa

P IERWSZE ujęcie, otwierające czołówkę angielskich „Głupców z kosmosu” Mike Hodgesa — kiedy to czarna, bezdenna przestrzeń nieba, usiana punktami odległych gwiazd, zaczyna bezzwłocznie przestępnie nieskończenie długi korpus gigantycznego statku kosmicznego — wydaje się sugerować jakąś kolejną, niezbyt pomysłową „powtórkę” z „Gwiezdnych wojen” George Lucasa. Lecz gdy okazuje się, że statek ów ciągnie za sobą — również nieskończenie długi — łańcuch, holując pojazd przypominający do złudzenia przyczepę campingową, a pełniący rolę... toalety, wszystko staje się jasne. Oto zapowiada się półtoragodzinna „kosmiczna zgrzywa” na ekranie Zgrzywa, w której — jak w „wolnej amerykance” — wszelkie chwytliwy pomysły oraz gagi — zarówno stare, jak i nowe — są dozwolone. A wszystko to podporządkowane groteskowo-satyrycznemu naśladowictwu czy raczej — złośliwej parodii „uznanych dzieł” z gatunku science-fiction.

Pomysł może nie nowy, ale zawsze ze skutkiem chwytający w kinie. Dostaje się tutaj do syta Lucasowi, a także Stevenowi Spielbergowi i jego coraz bardziej nieznośnie pastiszowym filmom.

Tak więc w „Głupcach z kosmosu” — opowieści o tym, jak czwórka przybyszów z pozaziemskich światów trafila przypadkiem na naszą planetę, i co z tego wynikało — gag goni gag, pastisz idzie o lepsze z kpina i satyrą. Aż wszystko to razem, podlane jeszcze obficie muzyką rockową, zamienia się w jakiś migotliwy młyn, gigantycznie roziskrzoną karuzelę zwirowanych sytuacji, zdarzeń i dialogów. W końcu człowiek zaczyna tracić orientację, o co właściwie tu idzie, przestaje wierzyć w jakąkolwiek logikę zamierzeń twórców filmu. I może się już tylko śmiać. Śmiać się bezwolnie i bezsensownie, poddając się bez reszty tym „kopsom”, temu wodospadowi bzdury, taniego dowcipu i tanich pomysłów, lejących się bezustannie z ekranu. Ale o to właśnie reżyserowi chodziło, i to swoje zamierzenie potrafił wprowadzić w czyn — trzeba przyznać — z żelazną konsekwencją.

„Głupcy z kosmosu”, sięgając korzeniami do doświadczeń wodewilu amerykańskiego, slap-stickowej burleski Macka Senneta z okresu kina niemego, poetyki zwirowanych komedii filmowych braci Marx, wykorzystują zasadę i konstrukcję bardzo charakterystycznego, niezwykle dynamicznego i pełnego szarży, cyklu amerykańskich programów rozrywkowych „Saturday Night Live”, prezentowanych przez telewizję, gdzie dowcipy i gagi w wykonaniu ulubionych prezenterów przeplatają się z występami znanych wokalistów i młodzieżowych zespołów muzycznych.

Ale „Głupcy z kosmosu” nawiązują też do innych źródeł. Oto w roku 1980 Jim Abrahams oraz Dawid i Jerry Zuckerowie napisali scenariusz oraz wyreżyserowali komedię „Czy leci z nami pilot?”, będącą parodiastyczną przeróbką (nasyconą licznymi utworami muzycznymi, m. in. w wykonaniu słynnego zespołu The Bee Gees) filmu Halla Bartletta „Zero Hour!” z 1957 r. Film Bartletta opowiadał o dramatycznych próbach uratowania wielkiego pasażerskiego odrzutowca, którego załoga oraz część pasażerów uległa ciężkiemu zatruciu pokarmowemu.

Jakby kontynuacją „Czy leci z nami pilot?” był film Kena Finkelmana z 1982 r. pt. „Spokojnie, to tylko awaria...”, zakładający jako punkt wyjścia do niesamowitej serii gagów i muzycznych „numerów” sytuację, w której pierwszy pasażerski prom kosmiczny „Myflower 1” zostaje opanowany przez własny, oszalały komputer (sytuacja niczym z „Odysei kosmicznej” Stanleya Kubricka, tylko w krzywym zwierciadle).

W „Głupcach z kosmosu” czwórka kosmitów (w tym troje debilnych, co powoduje serię dzikich nieporozumień, oraz jeden „mądry”, którego nikt z Ziemi nie chce słuchać), niezbyt różniących się od nas, wpada przypadkowo jak grzyby w barszcz, w ziemski „niezawodny” system zabezpieczający przed intruzami z kosmosu. A potem w amerykański telewizyjny system rozrywkowy, stając się... idolami rocka.

I to już mówi wszystko samo za siebie. A kto chce wiedzieć więcej, musi sam wybrać się do kina i odczuć to na własnej skórze. Bo rzecz jest nie do opisanego na papierze.

M. D.

# Obywatele na zabytkach

Dokończenie ze str. 3

Osobliwości chadzają czasem parami. Oto Jakubowice Murowane. Któż ich w Lublinie nie zna? Któż nie ubolewał, że „kawalek”, może nie tak zabytkowy, ale ładnego pałacu popada w ruinę? Odbudowy podjęło się, jak wiemy, Muzeum Okręgowe w Lublinie. Pozostał jeszcze park i zabudowania gospodarcze. I one też znalazły nowego właściciela. Jest nim Piotr Pędzisz, kowal-artysta, członek Stowarzyszenia Twórców Ludowych. Zakupił te czterohektarowe pałacowe osadki — park, dawną kuźnię, murowaną stajnię i resztki czegoś, co rozbierte, by mieć materiał do budowy i remontu.

Pomieści tu, jak mi to dokładnie podczas spaceru objaśnił, dwadzieścia kowalskich klepadeł i kowadeł, kilka tysięcy unikatowych już dzisiaj narzędzi kowalskich oraz zbiór innych pamiątek i staroci. Od dwudziestu przeszło lat jest pan Piotr społecznym opiekunem zabytków. Sporo więc przedmiotów nabył, sporo też przyniósł mu ludzie na „wieczne przechowanie”, bo szkoda, by się zmarnowały. Ma więc stare cytry, fortepian z teatru lubelskiego, skamieniałą rybę z... jakubowickiej skarpy. Osobliwości, których wcale nie zamierza zamykać przed chętnymi ich obejrzenia. Przede wszystkim zaś otworzy podwoje warsztatu kowalskiego, pokazując arkana rzemiosła i sztuki oraz to już rzadziej.

Na mieszkanie upatrzył sobie pan Piotr... dworzec kolejowy. Drewniany, starutki, jak nadwiślańska kolej żelazna. Akurat w Jaszczowie, w związku

z przebudową linii kolejowej, demontowano stacyjny budynek. Piętrowy, uchodzący za murowany, choć w środku pobudowany z drewnianych bali. Rozbiórki dokończył już pan Piotr, przevoząc ten zbytek kolejnictwa do dawnej kuźni w Jakubowicach Murowanych. Już ma pod ten „dworzec” gotowe fundamenty.

Obchodzimy całą pan — Piotrową posiadłość. Park, dawniej zagłuszony przez dźwięki bez, wiatrolomy, gruz i śmieci, jest już z nich oczyszczony. A trzeba było parę setek razy nawracać wywrotką i ciągnikiem, by to wszystko wywieźć. Przedpola więc budowy są czyste. I nie takie to proste, kiedy się mieszka 40 kilometrów dalej.

Bo na razie pan Piotr kuje w Lysolajach, a co wykucje, wystarczyć musi i na bieżące potrzeby, i zamierzoną inwestycję. Pomagają mu synowie i koledzy. Sam chyba nie dałby rady. Nie dałby też rady bez pomocy Urzędu Gminnego w Wólce Lubelskiej, wojewódzkiego konserwatora i Stowarzyszenia Twórców Ludowych.

Poza nawias rozmów z właścicielami obiektów zabytkowych „wyrzuciłam” takie kwestie, jak koszt (nabycia, odbudowy, materiałów itp.). Zgodnie z zawartą z moimi rozmówcami dżentelmeńską umową. W każdym razie nie są to przedsięwzięcia tanie, na to trzeba mieć środki, poświęcić wiele własnej pracy i starań.

Wspomniana ustawa furtkę do prywatnej własności obiektów zabytkowych otworzyła, lecz droga wiodąca od tej furtki wcale łatwą się nie okazała. Weźmy chociażby znane trudności w zaopatrzeniu w materiały, skomplikowane sprawy własności, opodatkowania, nie dość jasnych w tej materii przepisów. Obywatel na dworskich osadkach wobec trudności i przeszkód formalnych staje się niekiedy bezradny. Z pomocą będzie chciał mu przyjść, powstały w maju 1984 roku, Ogólnopolski Klub Prywatnych Użytkowników Obektów Zabytkowych. Pierwszy walny zjazd Klubu odbędzie się w październiku tego roku. Jedną z propozycji klubu będzie powołanie regionalnych społecznych zespołów rzeczoznawców — z zakresu architektury, historii sztuki, prawa, ekonomii, ogrodów i zieleni

itp. Przypomnieć się godzi, iż powołanie Klubu zainicjował Zarząd Muzeów i Ochrony Zabytków Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz Zarząd Główny PTTK.

Zwracam się z pytaniem do Małgorzaty Gmitter z Biur: Dokumentacji Zabytków:

— Jakiego obiektu można jeszcze nabyć w województwie lubelskim?

— Piękne, acz zaniedbane parki podworskie we Wronowie w gminie Belżyce, w Krępie w gminie Jeziorany, Maruszewcu w gminie Borki i Pałecznicy w gminie Niedźwiada. Można tam wybudować domy, uzgadniając, rzecz jasna, projekty z wojewódzkim konserwatorem zabytków. Dworców natomiast brak. Są już one w większości zagospodarowane lub trudne do „wyjęcia” spod dotychczasowej własności. Oto na przykład „Bernatówka” w Dysie. Zajęta przez lokatora, któremu należałoby znaleźć inne mieszkanie. Podobna sytuacja w Sarnach w gminie Uleź. Właściciel dworku, Nadleśnictwo Puławy, chętnie zrzeknie się tej posiadłości, co, kiedy i tam mieszkają lokatorzy. Dwór niszczy, nie ma jednak gdzie przekwaterować ludzi. W Siedliskach w gminie Fajslwice stoi dworek posiadający piękne, secesyjne piece, niestety, wewnątrz jest dewastowane przez obecnych użytkowników. Z takich Skorzyc w gminie Urzędów dworek trzeba było „wyeksportować” do województwa kieleckiego, stamtąd bowiem pochodził chętny do jego kupna; tutejsza spółdzielnia stwierdziła, że obiekt ten speści otoczenie i trzeba go koniecznie rozebrać, by w to miejsce postawić bliurowiec. Nic dodać, nie ująć... Do nabycia jest natomiast XIX-wieczny zespół dworski w Turce oraz wiatrak w Koszarzewie Górnym w gminie Bychawa. Kto chce?

Od pani Małgorzaty wyciągam jeszcze jedną ciekawostkę: otóż w konkursie Międzynarodowej Rady Ochrony Zabytków „Icomos” pierwsza nagroda za najlepsze przystosowanie prywatnego obiektu zabytkowego do współczesnych potrzeb użytkowych przyznana została w 1984 roku właścicielom zabytkowej plebanii z Karczmisk przeniesionej do Kazimierza Dolnego.

Marta Denys

# Do mieszkańców Lubelszczyzny i wszystkich miłośników Lublina

Lublin jest jednym z najstarszych miast w Polsce. W trosce o zachowanie i przywrócenie do dawnej świetności zabytkowych obiektów i zespołów architektonicznych Lublina Wojewódzka Rada Narodowa w dniu 30 stycznia 1980 roku utworzyła Miejski Fundusz Odnowy Zabytków w Lublinie, a Miejska Rada Narodowa w Lublinie w duchu tej uchwały w dniu 19 marca 1985 roku powołała Społeczny Komitet Odnowy Zabytków Lublina. Komitetowi powierzono organizowanie wysiłku społecznego, zespalanie działań państwowych i społecznych w realizacji programu odnowy zabytków Lublina. Mimo pewnych osiągnięć stoją przed nami jeszcze ogromne zadania w tej dziedzinie. W latach 1986—1995 przewiduje się wykonanie prac rewaloryzacyjnych i konserwatorskich w 48 obiektach, których koszt zamknie się kwotą 7 miliardów złotych. Przedsięwzięcie to będzie możliwe do wykonania jedy-



nie przy współudziale wszystkich sił społecznych i gospodarczych.

Społeczny Komitet Odnowy Zabytków Lublina zwraca się z gorącym apelem do mieszkańców miast i wsi Lubelszczyzny i wszystkich miłośników Lublina, załóg pracowniczych zakładów, przedsiębiorstw i instytucji, członków i władz organizacji, związków i stowarzyszeń, do młodzieży, organów samorządu terytorialnego i administracji państwowej — o współdziałanie z Komitetem w dziele odnowy zabytków Lublina.

Wspierajcie swą ofiarnością dzieło odnowy zabytków — funduszami, materiałami budo-

wlanymi, maszynami i sprzętem, narzędziami i pracą. Lublin wyrazi swą wdzięczność nie tylko wpisem Waszego czynu do Honorowej Księgi Czynów Odnowy Zabytków Lublina, lecz będzie także świadectwem dbałości Polaków o spuściznę narodową. Zespoleni patriotycznym obowiązkiem, czynmy wszystko, aby 355 zabytków Lublina znów przypominało czasy swej świetności.

Przewodniczący Społeczny Komitetu Odnowy Zabytków Lublina  
prof. Bogdan Suchodolski  
Społeczny Komitet Odnowy Zabytków Lublina  
Nr konta: NBP II O/Lublin 43023-1935-132, ul. Trybunalska nr 4; tel. 290-03.

## Listy do „Kamieny” „SZARUGA” I ŻAP”

Szanowna Redakcjo!

Ze znacznym opóźnieniem przeczytałem artykuł p. E. R. Burego pt. „Szaruga” a ŻAP. Nie zaraz też zdecydowałem się na zabranie głosu o poruszonych tam kwestiach. Dlatego i ten list jest tak opóźniony. Ale do rzeczy. [...]

Kto zna się nieco na wojsku, przeczył wrzesień, wszystkie etapy okupacji, jak i wszystkie etapy pracy i walki konspiracyjnej — nie może czytać z pobłażaniem takiego koślawienia tamtej rzeczywistości. Bo tu fokus-pokus — za sprawą jednego człowieka („bo zdawał sobie sprawę”) w kilka zimowych miesięcy powstaje „jego” organizacja na sporym obszarze Polski z załączkami harcerskiego oddziału partyzanckiego. [...] Jakby nasz naród nie przeżywał Wawra, aresztowań, rozstrzeliwań, nie było gestapo i konfidantów. Przecież sytuacja w Polsce była zupełnie inna niż np. w sąsiedniej Czechosłowacji czy np. później w Danii. Było tylko okresowe zawieszenie broni i to nie wszędzie (Hubal). W tych warunkach nie można było pójść do sotysa z delegacją w kieszeni i powiedzieć: „Panie Ignac, zwołaj pan młodych chłopów po zachodzie koło kuźni”. Lub podobnie zwrócić się do księdza proboszcza. Tak ostro to nie szło. Wiem z własnego doświadczenia. Czy nie za bardzo zagalopował się autor artykułu lub czy nie za bardzo wierzył opowiadaniom?

Nasuwają się przy tym pytania, dlaczego pan Sarkisow — mając tak rozległą „swoją” organizację — ucieka latem 1940 roku poza jej granice i ląduje w Motyczu, gdzie nikt go nie zna i nikt nie słyszał o „Andrzeju” ani o ŻAP, ani o ZPN (może autor poplątał z ZNP? I stąd dowodzi nadal „swoim” oddalonym okręgiem. Nikt nie nie zauważył, choć Motycz to nie Warszawa. Nigdy nie wspominał o ŻAP, ZPN ani o „swoim” okręgu.

A było tak. Zamieszkuje w Motyczu pod nazwiskiem Aleksander Dobrowolski (to nie pseudonim) i — aby żyć — wraz z żoną Krystyną prowadzi tajne nauczanie grupki młodzieży. W tym czasie komendantem organizowanego rejonu POZ (Polska Organizacja Zbrojna) był „Rys” — Stanisław Łukasik. Broni było dużo, ale nadawała się tylko do sformowania oddziału koszyńców. A tej innej — stan zerowy. Nie mogło być — rzecz jasna — żadnych „patrolów bojowych”. [...] Rok 1940 i częściowo 1941 były latami ciszy, a nie „bojów i dowodzenia”. Szperanie za bronią w naszym terenie prawie nie dało. A nikt nam jej nie sprezentował. Trzeba było samemu sprowadzić lub zdobyć. I tak w sumie nie było tego wiele. Stąd też tak zwane akcje bojowe zaczęły się dopiero później. Organizował je i prowadził „Rys”. Pomyślnie i bez strat. [...]

W żadnej akcji nie uczestniczył p. Sarkisow nawet od czasu, kiedy jako „Czarnota” został komendantem rejonu. Jak więc mógł dowodzić bezpośrednio? Ze swego pokoju? Nawet pośrednio nie mógł. Przecież nie mieliśmy radiostacji, a teletypię (proszę się nie śmiać) wymyślono dopiero teraz, niedawno. Radiostację wraz z obsługą (zrzutek — Piotr Nowak „Oko”) przydzielono dopiero w 1944 roku, tylko do oddziału „Rysia”. Nie miał więc „Czarnota” swojego oddziału partyzanckiego, który przekształca w lotny specjalny (już jako „Szaruga”). Natomiast z chwilą otrzymania rozkazu dopiero ten oddział organizuje z ludźmi z placówek i z Lublina. I dopiero wówczas „wyrusza w pole”.

A sprawa tzw. „Judzi spalonych”? Nie zgłaszali się oni do „Czarnoty”, bo cóż on by z nimi począł? Przybywali wprost do naszego domu i stąd byli kierowani dalej. Zaś scelenie naszego rejonu POZ z OW i ZWZ nastąpiło dopiero w lipcu 1942 r., a nie na przełomie 1940/41. Od tego czasu „Czarnota” jest komendantem rejonu, a „Rys” szefem szkolenia i tzw. „akcji bojowych”.

Korci mnie też zakwestionowanie dyktanda odnośnie należenia Sarkisow-

wa do ŻAP i Muszkieterów (udokumentowane?) i ewentualnie do innych organizacji, o czym nadmieniam p. Ireneusz Caban. Pan Bury zaś mówi o współpracy z KOP, ZOP OW. Heż tego! [...] W tamtych czasach było to nie do pomyślenia. Cóż by to był za rodynek dla gestapo, gdyby nakryło takiego latającego Holendra. Ewentualne kontakty, a nie należenie, były możliwe w Warszawie czy Lublinie. Nie w Motyczu, skąd — na dodatek — ktoś nie wychylał się dalej niż w promieniu 2-3 km. [...]

Z poważaniem  
b. komendant placówki Motycz  
Adam Łukasik  
Kościerzyna  
List publikujemy z obszernymi skrótami.

Red.

## „CORAZ CICHSZE LATA”

Krótką i jednostronną recenzją książki poetyckiej Henryka J. Kozaka „Coraz cichsze lata” pióra Krzysztofa Derdowskiego („Kamena” nr 7 z dn. 1986.04.06) jest jaskrawym przykładem niedogłębnego zapoznania się autora recenzji z zawartością tej książki.

Osobiście nie bronię Kozaka ani też jemu podobnych, tym bardziej po przeczytaniu poniższego fragmentu z wiersza „Ostatnie wakacje”:

zacieram  
wszelkie ślady  
po sobie

Ale chcę jedynie wskazać na pewne zjawiska, które, według Kozaka, są zjawiskami nieodwracalnymi. Są to zmiany zachodzące na współczesnej wsi, do których należą m.in.: zanik tradycji kulturowych, wyludnianie — a w tym ucieczki chłopców i niechciane do miast — i starzenie się polskiej wsi. Ale by to zrozumieć, a tym samym dogłębnie pojąć poezję tzw. nurtu chłopskiego, należy wopierw dorosnąć do pojmowania rzeczy i zjawisk, które są nieroznam — w tym przypadku autorowi recenzji — obce.

Zaś napisać o wsi, że jest miejscem morderstwa, pijaństwa, samobójstwa, nietolerancji, a czasem najzwyczajszej głupoty, jest przykładem „niedorostłości psychicznej”.

Doprawdy dziwię się, że Krzysztof Derdowski, poza problemem wieś-miasto, nie dostrzegł zagubienia się Kozaka, który robiąc swoisty — czy tylko — rachunek sumienia, stanął w tej książce przed wielką próbą lub wielką przegraną.

Z przyrażeniem odkrywasz  
że przysłądasz się  
sobie  
i że nie masz już  
po co i dokąd  
wrócić

(Idąc łąką)

Mimo wszystko autorowi recenzji radzę, ażeby przed następną próbą recenzowania wziął przynajmniej zimny prysznic.

Jan Henryk Cichosz

## APEL

Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich — Instytut Pamięci Narodowej w Lublinie zwraca się z gorącym apelem do wszystkich osób, które mogłyby udzielić jakiegokolwiek informacji na temat pomocy udzielanej Żydom prześladowanym w okresie okupacji a szczególnie o wypadkach stosowania represji wobec osób niosących Żydom pomoc.

Wszelkie informacje należy kierować pod adresem: Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich — Instytut Pamięci Narodowej w Lublinie, ul. Krakowskie Przedmieście 43 a, II piętro, pokój 204 tel. 200-31, w. 141.

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopicowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz Maria Denys, Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (komentator), Lidia Wójcik (redaktor techniczny) — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban. Redakcja nie swraca materiałów nie samowolnych i zastrzega sobie prawo skrótów. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 14-18. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 4, tel. 253-38. Adres redakcji: 20-025 Lublin, ul. Skłodowskiej 1/1. Telefon: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego 253-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 273-38. Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-006 Lublin, skrytka pocztowa 231, pocztowo i ekspresowo — pod adresem redakcji.

**W** WIELKIM sporcie na szczęście, w przeciwieństwie choćby do naszej futbolowej ekstraklasy, wciąż jeszcze niezmiernie trudno wytypować zwycięzcę, zanim rozegrane zostaną zawody. Dotyczy to także, a może przede wszystkim, piłkarskich mistrzostw świata. Od szesnastu lat faworyzowana Brazylia nie może sięgnąć po mundialowe trofeum, a w każdej edycji któryś z wielkich potentatów rutynowo już pakuje walizki po wstępnej fazie turnieju, udając się w drogę powrotną do kraju.

Mimo to spekulują, nie tylko z zawodowego obowiązku, bookmacherzy czy opiekunowie poszczególnych ekip; spekuluje i stawia prognozy cały piłkarski świat, z milionowymi rzeszami kibiców na czele. Dla niektórych ten etap podwyższenia przedmundialowej gorączki stanowi okazję do ujawnienia marzeń i skrycie hołubionych nadziei. Fakt jednak faktem, iż towarzystwo mistrzostw świata nadal pozostaje bardziej ekskluzywnie niż najbardziej elitarna, prywatna szkoła małych lordów w Eton. W półwiecznej historii tej imprezy zaledwie sześć drużyn zdołało wywalczyć Złotą Nikę. W każdym turnieju były rewelacje, padały zaskakujące rozstrzygnięcia, rodziły się nowe stawki, a jednak po tytule sięgali jedynie najmożniejsi z możnych. Jak będzie w Meksyku, już wkrótce się przekonamy, prawdziwość jednak niechętnie poddaje się odchyleniom.

A zatem Brazylia? Za faworytem numer jeden przemawiałyby przede wszystkim fakt rozgrywania turnieju na półkuli zachodniej w specyficznym klimacie. Regułą już niemal stała się supremacja drużyn południowoamerykańskich w mistrzostwach rozgrywanych na ich terenie. Ani razu, w wieloletniej rywalizacji Europy z Latynosami, nie udało się drużynie ze Starego Kontynentu wywalczyć tytułu za oceanem. Nie od rzeczy wymieniam jako główny atut Brazylii umiejscowienie rozgrywek w zbliżonym do jej własnego klimacie i warunkach atmosferycznych. Już Igrzyska Olimpijskie w Meksyku wykazały, iż sprawy te mają, w przypadku tak specyficznej aury, znaczenie podstawowe. Co do bowiem wartości czysto piłkarskich Brazylii, z roku na rok ogarniają świat coraz większe wątpliwości. Nadal zachwyca ona wirtuozerią techniczną, lekkością w operowaniu piłką, znakomitą koordynacją ruchową poszczególnych graczy. Ale też i to wszystko. Drużyna brazylijska przypomina obecnie starego skrzypka, który zasłuchany wyłącznie we własną grę, uparł się grać swoje, nie dostrzegając, jak wokół zmieniają się orkiestry i dy-

rygenci. Przypomina to dokładnie analogiczną izolację Anglików choć brazylijski futbol jest z pewnością bardziej finezyjny i cieszący oko kibica. W obu jednak przypadkach nie z takiej postawy nie wynika w konfrontacji z najlepszymi drużynami świata raz po raz wali się z wielkim hukiem brazylijski mit, a trenerzy i piłkarze, w obawie przed samosądem, cichcem pomykają do strzeżonych kordonem policji willi.

Jeśli Brazylia nie unowocześni swego stylu gry, świadkami kolejnej katastrofy będziemy także w Meksyku. Chyba, że upał, wilgotność i górskie wysokości sparaliżują pozostałych rywali.

# Mundialowy horoskop

Wiesław Horabik

Włosi. Obecni jeszcze mistrzowie świata, myśląc o obronie tytułu, stoją przed niezwykle trudnym zadaniem. Znajdują się oni właśnie w sytuacji identycznej z tą, w jakiej znalazł się w 1974 roku team Valcareggi. Jedenastka włoska jest bowiem stara. Zestarzała się fizycznie, a co ważniejsze, także psychicznie. Zmatował blask Rossiego, odszedł, nie pozostawiając godnego następcę, Dino Zoff, nie potrafił się odnaleźć Antonioni, Cabrini czy Collovati. W lidze włoskiej błyskają głównie cudzoziemcy: Platini, Boniek, Rommenigge. Sromotnie przegrane eliminacje do mistrzostw Europy, zenujące wpadki w towarzyskich spotkaniach z drugim rzutem drużyn europejskich, a nawet z przeciwnikami egzotycznymi — wszystko to wystawia Włochom mizerne świadectwo. Nie inaczej było jednak przed Mundialem w Hiszpanii, a nawet w trakcie tego turnieju (remisy z Polską, Kamerunem i Peru). Enzo Bearzot to wybitny fachowiec, może więc i tym razem dobrze przygotuje ekipę podtatasytanych panów na ten jeden, niepowtarzalny i swoisty turniej. Znacznie bardziej prawdopodobne wydaje się wszakże, że Włosi odjadą z Meksyku mleczkiem i wcześniej niż to sobie zaplanowali.

RFN. Drużyna zachodniemiecka stanowi wielką zagadkę. Ruchliwy jak urodzony komwojażer, trener Franz Be-

ckenbauer podpatruje wszystkich, z helikoptera przesiada się do Boeinga, aby zdążyć z koleją na autobus do miasteczka, w którym gra, dajmy na to, Dania. Sam jednak niechętnie odkrywa karty. Gładko wygrywając eliminacje w swojej grupie i pokazując wielki futbol w pamiętnym meczu w Pradze, oddaje w ostatnim meczu punkty Portugalii, aby zagrozić drogę Czechom. Niemcy od lat znani są z kupieckich zdolności (vide: przedziwny mecz z Austrią w Hiszpanii, gdzie obie drużyny umawiając się na remis wyeliminowały Algierię, która wcześniej ośmieliła się wygrać z RFN) i wielkiego sportowego szczęścia. Wszystko to jednak, co by nowiedzieć, oparte zna-

nienie sukcesu u tego narodu, tak gorzko ostatnio doświadczonego przez los, utopienie ogromu narodowych ambicji w Mundialu 86, wspaniałe wyniki spotkań towarzyskich — czynią z tej drużyny jedenastkę bardzo groźną, pełną desperacji i ogromnej chęci zwycięstwa, a nie pozbawioną wcale wybitnych piłkarzy. Tak choćby Hugo Sanchez. Meksykanie mogą zająć i pewnie zajmą wysoko. Czy jednak są już zdolni do wygrania wielkiego finału? Na pewno trzeba się z nimi jak najpoważniej liczyć.

Wielką formą błysnęli przed Mundialem Hiszpanie. Wygrywając gładko towarzyskie spotkania z silnymi drużynami, wprowadzając aż trzy jedo-

komitą piłkarską solidnością, żelazną dyscypliną taktyczną i wysmienitym przygotowaniem kondycyjnym. Atletyczny, przebojowy futbol niemiecki od wielu już lat toruje sobie regularnie drogę na szczyty piłkarskiej drabiny. Może będzie podobnie i w Meksyku, choć wszystko wskazuje na to, że w Niemczech tam triumfował futbol techniczny i finezyjny.

I tyle o najlepszych firmach narodowych — drużynach, które zdobywały Puchar Świata więcej niż raz. Za ich plecami czai się cała plejada faworytów drugiego rzutu. Być może, któryś z nich sięgnie tym razem po prymat w świecie.

Nie bez szans będą zapewne Argentyniacy. Grając, podobnie jak Brazylia, niemal u siebie i dysponując tej klasy zawodnikami, co Maradona będą groźni dla każdego. Przed jeszcze większą szansą wydają się stać Francuzi. Obecni mistrzowie Europy pokazali przed dwoma laty wspaniały futbol, pełen fantazji, polotu i radości. Ich as atutowy, Michel Platini od wielu sezonów utrzymuje się w bardzo wysokiej formie, wciąż doskonale swoją technikę i jest bez wątpienia najlepszym piłkarzem naszego kontynentu. Problem tylko w tym, czy koledy będą potrafili się dostosować do jego mistrzowskiej gry.

Moim cichym faworytem są Meksykanie i to nie tylko dlatego, że gospodarzom nawet ściany pomagają. Prag-

nastki do finałów Klubowych Pucharów Europy, wyrośli na drużynę, o której mówi się głośno i która może stać się autorem dużej niespodzianki. Są wreszcie i drużyny naszego bloku: silna jedenastka radziecka; marząca o wskrzeszeniu dawnej wielkości drużyna Węgier; i wreszcie my ze swoją umiejętnością skoncentrowania się w obliczu wielkich spotkań.

Osobiście wątpię jednak w generalny sukces którejs z tych drużyn. Pieniądze zaangażowane w mistrzostwa świata w piłce nożnej nie są wcale mniejsze od tych, które rzadza zawodowym boksem. FIFA nader niechętnie widziałaby miliony spływające do kieszeni którejs z federacji naszego regionu. Z pomocą swoich sędziów, czy nawet nagłej gwałtownej ulewy a la Stuttgart 74 (podobno Indianie meksykańscy są od wieków specjalistami od wywoływania deszczu), potrafi sroawe wielkiego finału odpowiednio uregulować. Nam pozostaje więc chyba mierzyć najwyżej w któryś z medali z kruszcem mniej od złota szlachetnego. Pozostają jeszcze Anglia, Dania i szansa na wielką, nieoczekiwaną niespodziankę.

Kończąc tę horoskopową zabawę, wypada nam życzyć sobie niezapomnianych wrażeń, wielkich emocji i najprawdziwszej piłkarskiej uczy, z rzędu tych, które nieprędko się zapomina i które owocują wspomnieniami, roztrząsanymi w nieskończoność, aż do kolejnego Mundialu.

## Krzyżówka nr 11 - szyfrogram literacki

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment powieści pisarza, którego imię i nazwisko utworzą pierwsze litery 11 początkowych wyrazów pomocniczych. Czarne kratki w diagramie odpowiadają przerwom między słowami.

### Wyrazy pomocnicze

1. puszczę, ostępy leśne — 23, 9, 41, 7, 17, 37.
2. dowódca powstania w Getcie Warszawskim — 30, 38, 2, 11, 141, 43, 122, 72, 105, 184.
3. urządzenie do prześwietleń — 14, 5, 39, 19, 225, 58, 91.
4. najbliższy wstępny — 3, 31, 76, 10, 93, 128.
5. próżniactwo — 118, 18, 115, 49, 85, 124, 48, 158.
6. wokół stadionu — 98, 36, 56, 89, 151, 92, 50.
7. biuro władzy — 16, 26, 181, 78, 1.
8. katar — 186, 70, 75, 55, 20, 24.
9. naszywka na rękawie oznaczająca lata służby — 8, 177, 104, 155, 145, 13, 112.
10. ruiny zamku pod Kielcami — 21, 77, 62, 52, 79, 126, 127.
11. do urywania tba w kołysce — 22, 171, 63, 102, 116.
12. miasto w woj. łomżyńskim — 175, 33, 163, 82, 32, 144, 27.
13. chęć, zmierzanie — 51, 40, 73, 71, 142, 113, 81.
14. saludnicza lub cieczy — 139, 44, 59, 86, 88, 47, 172.
15. narzędzie rybaka — 110, 167, 174, 100.
16. na seansie hipnotycznym — 29, 90, 42, 109, 101, 166.
17. sprostowanie fałszywej informacji — 80, 66, 94, 119, 6, 45, 137.
18. odejście ze stanowiska — 15, 107, 35, 152, 136, 83, 117.
19. drzewa parkowe — 69, 164, 133, 106, 28.
20. kształca — 179, 176, 159, 64, 25, 96, 129.
21. dał jabłko Ewie — 108, 160, 168.
22. bada co pod ziemią — 4, 84, 135, 130, 150, 154, 68, 178.
23. spadające gwiazdy — 189, 169, 111, 153, 146, 180, 99.
24. np postoj 12, 157, 132, 57, 133, 65, 97.
25. narzędzia wzroku — 46, 74, 53, 143.
26. sposób — 67, 165, 69, 95, 34, 140.

|     |     |     |     |     |     |     |     |     |     |     |     |     |     |     |     |     |     |     |
|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|
| 1   | 2   | 3   | 4   | 5   | 6   | 7   | 8   | 9   | 10  | 11  | 12  | 13  | 14  | 15  | 16  | 17  |     |     |
| 18  |     | 19  | 20  | 21  | 22  |     | 23  | 24  | 25  | 26  | 27  | 28  | 29  | 30  | 31  | 32  |     |     |
| 33  | 34  | 35  | 36  | 37  | 38  | 39  | 40  |     | 41  | 42  | 43  | 44  |     | 45  | 46  | 47  | 48  |     |
| 49  | 50  | 51  | 52  | 53  | 54  |     | 55  | 56  |     | 57  | 58  | 59  | 60  |     | 61  | 62  | 63  | 64  |
| 65  | 66  | 67  |     | 68  |     | 69  | 70  | 71  |     | 72  | 73  |     | 74  | 75  | 76  | 77  | 78  |     |
| 79  | 80  | 81  | 82  |     | 83  | 84  | 85  | 86  |     | 87  | 88  |     | 89  | 90  |     | 91  | 92  | 93  |
|     | 94  | 95  | 96  | 97  |     | 98  | 99  | 100 |     | 101 | 102 | 103 | 104 | 105 | 106 | 107 | 108 | 109 |
| 110 | 111 | 112 | 113 | 114 | 115 | 116 |     | 117 | 118 | 119 |     | 120 | 121 | 122 | 123 | 124 |     | 125 |
| 126 | 127 |     | 128 | 129 | 130 |     | 131 | 132 | 133 | 134 |     | 135 | 136 | 137 | 138 | 139 | 140 | 141 |
| 142 | 143 |     | 144 | 145 | 146 | 147 | 148 |     | 149 | 150 |     | 151 | 152 | 153 | 154 | 155 |     | 156 |
| 157 | 158 | 159 | 160 | 161 | 162 |     | 163 | 164 | 165 |     | 166 | 167 | 168 | 169 |     | 170 | 171 | 172 |
|     | 173 | 174 | 175 | 176 |     | 177 | 178 | 179 | 180 | 181 | 182 | 183 | 184 | 185 | 186 | 187 | 188 | 189 |

27. m. in dinozaury i węże — 147, 121, 126, 54.
28. stała posada — 188, 134, 162, 87.
29. tenek węgla — 183, 103, 148, 149.
30. silne wrażenia — 185, 61, 114, 161, 131, 123.
31. instrumenty drewniane strojkowe — 155, 170, 167, 173, 182.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr poczt 231 20-950 Lublin) Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy boni książkowy wartości 500 zł.

### ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 9 SZYFROGRAMU LITERACKIEGO

Socjalizm jest działaniem o wielu niewiadomych. Nie wyczerpałmy wszystkich możliwości by ludzi przekonać uwarcić kładliśmy cegły na nowych budowach i to słuszne lecz stałśmy bezzadni wobec człowieka, który nie mieścił się w ramach

Włodzisław Sokorski  
"Krok"

Nagrodę wylosowała Joanna Szcześniak, ul. Grodzka 16 m. 15, 20-112 Lublin.